http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

STEFAN MODRZEC

O TYCH CO POZOSTAŁY

KRAKÓW — 1916

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

STEFAN MODRZEC

O TYCH CO POZOSTAŁY

INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
Biblioteka
ul. Nowy Świat Nr 72
00-330 Warszawa
Tel. 26-68-63, 26-52-31 w. 42

KRAKÓW — 1916
NAKŁADEM FRANCISZKA M. MUCHY
DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.

Księgarnia Polska
Warszawa
N. Świat 69
1.60
http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

Muszce,

żołnierzowi-legioniście

Autor.

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

I.

KRZESZOWICE

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

Siedzieli u skraju gościńca. Rozbiegał się on w tem miejscu na trzy strony, a towarzysze Hanki nie wiedzieli dokładnie, którą drogą przyjdą strzelcy. Sami przyjechali rowerami, szosą wzdłuż plantu kolejowego — ale można było również dobrze, wybrawszy drogę polną, wyjść od strony przeciwnej na przełaj. U rozwidlenia gościńca zasiedli więc, czekając.

U Hanki serce łomotało szybkiemi, ciężkiemi uderzeniami młota. Och, żebyż tylko napewno już wiedzieć, że w partyi nadejść mającej jest Płomień! Od trzech dni czeka w Krzeszowicach — od trzech dni dzięki uprzejmej dobroci komendanta Trojanowskiego zwiedziła wszystkie kwatery i młyny

http://rcin.org.pl

i stajnie angielskie, wszędzie gdzie byli strzelcy, skąd odchodzili i przybywali — wszędzie z dodanym sobie opiekunem Kniaziem — stawała nieśmiało przed komendantem kompanii pytając: komendancie obywatelu, czy znajduje się w waszej kompanii: Płomień? Ale wszędzie spotykała ją odmowna odpowiedź. Zatem wyjechać trzeba, powrócić bez pożegnania się z Jaśkiem! Gdy pomyślała o ciężkiej drodze przebytej, trudach wszystkich, by dostać się wreszcie do Krzeszowic i o tem, że to wszystko nadaremno, że już Jaśka nie zobaczy, aż po wojnie może — chwytał ją suchy, bolesny skurcz w krtani, że zaciskała dłonie i zacinała zęby, by nie wybuchnąć w jakiemś strasznem rozpacznem łkaniu. Snać musiał Ryszard spostrzec po jej twarzy kim jej jest ten Płomień, bo gdy weszła do komendy, by mu za całą jego dobroć podziękować, pożegnać się i powiedzieć, że Jaśka nie znalazła — spojrzał na nią, zawachał się chwilę i rzekł: »Dziś o trzeciej przyjdą jeszcze ostatnie kompa-

http://rcin.org.pl

nie z Czernichowa, może między niemi znajdziecie Płomienia«. Jakoteż koło trzeciej przybyło pierwszych kilku towarzyszów z raportem, że kompanie: 9, 10, 11 i 12 zbliżają się już ku Krzeszowicom. Z bijącem sercem pytała Hanka o Płomienia. »Jest, zdaje się, że jest taki — oficer plutonu — tak twarz ciemna — nos orli — zdaje mi się w kompanii 11-tej«. Dwóch z chłopaków ofiarowało się towarzyszyć Hance ku skrzyżowaniu gościńca, kompanie miały już przeznaczone kwatery. Chcąc się dowiedzieć i widzieć Jaśka, trzeba było stanąć w miejscu, którędy przemaszerowywali wszyscy. Siedzieli zatem w cieniu trzew. Hanka usiłowała mówić coś, wdzięczna chłopcom, którzy sami zmęczeni tak ochoczo poszli jej drogę wskazać — ale słowa rwą się na ustach, wszystko zmieniło się w duszy w rozgorączkowany niepokój — w świtającą nadzieję. Oczy biegły ku drodze, to jednej, to drugiej.

W ciszy siedzieli tak długą chwilę jak na

http://rcin.org.pl

czatach — wtem nadbiegł z wiatrem wyraźny tupot setek nóg.

— Idą! — zerwali się wszyscy troje.

— A mówiłem, że pójdą drogą polną — gorsza droga i więcej kołowania — gdyby szli szosą, byliby o pół godziny prędzej!

— Zato nie nałykali się kurzu — odparł krótko drugi.

Szli za Hanką, która biegła prawie w kierunku, skąd słychać było nadciągające wojsko. Za chwilę z za skrętu, wynurzyło się czoło kolumny. Szli Strzelcy.

— Obywatelu — proszę, zapytajcie kompanijnego czy niema Płomienia? Głos Hanki drży.

Młody Strzelec z ręką przy czapce, zbliża się do prowadzącego komendanta — Plutonowy? Płomień?... niema.

Nadciąga kompania druga. I znów odpowiedź przecząca. A teraz kompania 11-ta. Janusz stojący obok Hanki twierdził, że tu jest Płomień. Ale i komendant trzeciej kompanii nic o Płomieniu nie wie.

http://rcin.org.pl

— Zatem w 12-tej — mówi trochę zmieszany Janusz — pomyliłem się.

Hanka już nie czeka — sama podchodzi do komendanta, a Bończa swym twardym głosem odpowiada: Jest! Obywatel Płomień!

Jak z pod ziemi wyrasta Jasiek.

Jezus Marya! jest! jest! rzucają się sobie w objęcia. Jasiek zdumiony, nie rozumiejący nic jakim sposobem Hanka pojawiła się tu, na gościńcu w Krzeszowicach, w tumanie pyłu — upale słonecznym — podczas gdy ją pożegnał w Szwajcaryi wiele dni temu — sądząc, że na długo żegna — —

A jej oczy błyszczą od radości i łez — patrzy w jego zmizerowaną już twarz, spoconą i brudną — widzi czapkę za małą i wązką bluzę — spodnie sznurkami związane wkoło butów — te eleganckie spodnie stalowego ubrania, w którem Jaśkowi było tak dobrze — ale widzi, że twarz jasna, szczęśliwa — że łuna od niej bije — radości z jej widoku — zapewne — ale i inna jakaś łuna, ognia, co w duszy płonie...

http://rcin.org.pl

— Jaśku!

— Hanka!

Nie mówią więcej — patrzą w siebie — piją się oczyma — aż słowa wybuchają — pytania jak grad — krótkie masowe odpowiedzi.

Och, jakie szczęście!

Wtem porywa się Płomień: — Mój Pluton! — ale wszystko dobrze. Hanka z Jaśkiem idą ścieżyną — dołem, gościńcem maszeruje kompania, raz wraz któryś z plutonu głowę podnosi, patrzy na komendanta — trzymają szeregu, idą sprężyście — niech tam obywatel komendant się nie troszczy.

Jasiek z Hanką zbiegają ku nim. Już idzie »obywatel komendant«. Z poważną twarzą obok swego plutonu, a z nim idzie Hanka pełna dumnego szczęścia!

Strzelcy! magiczne słowo. Pluton Jaśka! Obejmuje ich wzrokiem z wzruszeniem głębokiem: Strzelcy!... a więc wszystko co dzielne, co bohaterskie, co piękne, co nasze, Pol-

http://rcin.org.pl

skie wojsko! Jakieś uczucie mocne a palące ogarnia Hankę.

— Jasiek — strzelcy — chce się jej płakać i śmiać równocześnie. Dochodzą do młynów — tu kwaterują trzy kompanie — między niemi i 12-ta, Płomienia.

Hanka czeka u wrót. Strzelcy zmęczeni uciążliwym marszem, walą się na przygotowaną słomę. Jasiek tylko plecak zrzucił i wraca — jest oficerem warty — więc zasiada na ławce przed wrotami — przy nim Hanka. Inni oficerzy wychodzą pośpiesznie na miasto, idą coś zjeść, ponoś już nazajutrz wczesny marsz do Racławic. Jasiek i Hanka siedzą zapatrzeni w siebie — zrywają się na usta słowa zwierzeń — opowieści dni krótkich a tak nieskończonych przeżyciem. Radość spotkania poczyna już gdzieś podstępnie szarpać ból blizkiej rozłąki.

I Jasiek opowiada, jak ranek szarzał, gdy falą Strzelcy zalali błonie przed »Oleandrami«, jak nie żegnały ich tłumy, bo zbyt wcześnie było — jeno gdzieniegdzie matki,

http://rcin.org.pl

siostry, żony, gdzieniegdzie ludzie obcy, przechodnie przypadkowi, stawali gdzieś opodal — i żegnali milczącem wzruszeniem — gdy później ksiądz kapelan młodemi ramionami w górę podniesiony, błogosławił ich na święty bój — za wolność, za ojczyznę — —

Mówi Jasiek — Hance tak dziwnie — boleśnie i słodko — —

— Ruszyliśmy i przyszła mi nagle szalona tęsknota za tobą — poczułem w gardle łaskotanie dziwne — czułem, że chwilę jeszcze, a łzy zbiegną do oczu — więc jeno całą siłą szablę ściskałem w garści, starałem się cały zająć mym plutonem — choć głos mi się łamał w komendzie.

— Jaśku! Jaśku!...

Siedzą tak przed drzwiami improwizowanej kasarni — mija godzina za godziną. Kręcą się Strzelcy, kupują wodę sodową, owoce, z którymi nadciągnęły straganiarki. Hankę poczyna nużyć ten ciągły ruch — chciałaby mówić z Jaśkiem gdzieś w ciszy — w ogrodzie jakim — zapomnieć na chwilę,

http://rcin.org.pl

że on odejść musi — na chwilę mieć jego dla siebie tylko — jak dawniej — —

— Chodźmy stąd — prosi.

— Nie mogę, jestem oficerem warty.

— Niech cię kto zastąpi.

— Niema mego komendanta — nikt nie ma prawa mnie zwolnić.

— Jakto, więc tu zostaniemy do wieczora — a jutro pójdziesz — jakto?...

Jaśkowi samemu jest ciężką ta myśl — cóż robić!

Opodal Kostek gotuje sobie kawę — Kostek kompanijny, on może pozwolić.

Lecz Kostek uporczywie twierdzi, że nie ma prawa.

Wreszcie wraca Bończa. Płomień dostaje urlop do 9-tej — ach, jak to cudnie! chodźmy!

Jest 7-ma. Jasiek przeciąga zmęczone członki i teraz dopiero uświadamia sobie Hanka, że wszyscy po przyjściu rzucili się na słomę — a on parę godzin przesiedział

http://rcin.org.pl

na twardej ławie, widzi bladość jego twarzy, mimo całej warstwy pyłu i spalenizny.

— Jaśku! tyś zmęczony maleńki! Chodźmy do ogrodu Krzeszowickiego zamku — położysz się w cieniu drzew na trawniku — biedactwo moje!...

Idą.

Krótka droga do ogrodu.

Zapada zmierzch. Niebo błękitne, jasne bardzo nad wysokimi szczytami starych drzew. Jeno w gęstwinach gałęzi i liści budzi się senny mrok. Leżą zielone płaty trawników aksamitne i świeże, na nich złotawy poblask zagasłego słońca. Aleją idzie Jasiek z Hanką. Idą, obejmując się ramieniem — cisi — przytuleni. Cicho — na palcach, idzie za niemi szczęście z zagadkowemi oczyma — z zbłąkanym tajemniczym uśmiechem. Idą tak owiani białemi skrzydłami szczęścia.

W powietrzu cisza — sami są — aksamity trawników — długie aleje — kępy sta-

http://rcin.org.pl

rych mrocznych drzew — gdzieś w dali przez drzewa bielejące mury pałacu. Sami są... Na chwilę ginie z pamięci wszystko — skąd się tu wzięli — dlaczego — że następny moment ich rozłączy — widzą siebie tylko — upajają się szczęściem. Aż Jasiek zmęczony osuwa się na trawę. Hanka siada naprzeciw bliziutko. Patrzy na ukochaną twarz, bladą, jaśniejącą — patrzy w oczy dumne, przekorne, podkrążone błękitnym cieniem — oczy pełne blasków, szalonych rojeń, oczy bohatera. W nagłym porywie pochyla się nad tą głową ukochaną, obejmuje ją ramionami, całuje delikatnie czoło, oczy, całą, całą twarz.

— Zmyłam ci twarz pocałunkami — śmieje się promienna. Na ustach pełno pyłu — zebrała ustami ślady pierwszych trudów niesionych dla ojczyzny!

— Hanko!

— Jaśku!

I znów urywają się słowa.

W krzeszowickim parku stare drzewa cicho szemrzą — niesie się wierzchołkami

http://rcin.org.pl

drzew cichy szum jak modlitwa — z głębin ciemnych gałęzi, z gąszcza krzewów, rozsnuwa się zwolna szary zmierzch — jeno niebo jeszcze ciągle jasne bardzo, rozpięte w górze.

Na szarzejącym trawniku bieleje ostrymi konturami dumna twarz Jaśka, obok sylwetka siedzącej Hanki. Otacza ich zmierzch i cisza — niepamięć i upojenie — krótki sen szczęścia...

Pierwszy porywa się Jasiek. »Trzeba iść— Hanko — zegarek — która godzina — może czas«. Z żalem powstaje Hanka. Już czas. Minęła chwila jedyna jak wszystko mija w świecie — nieubłaganie stoczyła się w bezdeń martwą czasu...

Idą zwolna powrotną drogą. I budzi się w Hance świadomość, że jutro Jasiek pójdzie dalej — dalej na trudy, głód, boje — na zdradne kule wroga — a ona zostanie i powróci sama w ściany pustego domu.

Ogarnia ją rozpacz bezsilna — bunt przeciw tej mocy, co jej bierze Jaśka, szarpiący do głębin ból. Chwyta go za ręce, jakby upe-

http://rcin.org.pl

wnić się chciała, że jeszcze jest — jeszcze jest. Rozumie Jasiek rozpaczliwy ruch rąk — mocnym uściskiem do piersi ją przygarnia: Musi być — musi być, Hanuś — mówi głosem miękim a mocnym.

Ciemno już jest, gdy dochodzą kwatery. Jasiek przyszedł o 10 minut zawcześnie. Umawiają się jeszcze z Hanką, że jutro o 5-ej z rana przyjdzie go Hanka pożegnać, bo nie naznaczona jeszcze godzina wymarszu, lecz ma być wczesna, poczem poleca ją garstce strzelców, kwaterujących w młynach, by ją odprowadzili do głównej komendy, którędy im droga wypada, a gdzie Hankę gościnni Państwo X. zaprosili do swego mieszkanka, ustępując połowę domku komendantowi obozu, Ryszardowi.

Noc ciepła, jasna, pełna gwiazd. Pewną się czuje Hanka w gronie tych obcych ludzi — Strzelców! zatem pojęcie rycerskości, odwagi, honoru. Zamienia z nimi parę urywanych słów. Idą przeważnie milcząc. Ogarnia wszystkich cichy nastrój sierpniowej no-

http://rcin.org.pl

cy — kołaczą się wspomnienia, tęsknoty — górę bierze przemożne zmęczenie.

Jest 5-ta rano. Hanka blada trochę i wyczerpana wrażeniami dni ostatnich, stoi u wrót angielskiej stajni. W obozie ruch i życie — wstają chłopcy wypoczęci, świeży, biegną do studni opodal — wybuchają urwane piosenki. Wychodzi Płomień.

— Wiesz Hanuś, odmarsz koło południa — zbiórka koło młynów. Wpadnę do ciebie, przechodząc, za jakie pół godziny — mam przezczas do 11-ej.

— Och, jak dobrze! jeszcze 6 godzin razem!

Wraca Hanka do komendy. We drzwiach stoi Sarmat. »I cóż, znalazła pani Płomienia?«

— Znalazłam, komendancie! wczoraj jeszcze!

Kochana, dobra twarz Sarmata! Mądra, spokojna, stanowcza a miękka — i oczy smutne, czarne. Głębokiem zaufaniem ją przej-

http://rcin.org.pl

muje ta twarz — jest w niej ciche bohaterstwo — jakiś może tragiczny stygmat tych, co dadzą swą krew i życie — a nie ujrzą owoców poświęcenia.

(Sarmat, Szyszłowski, komendant kompanii, zginął w czerwcu z. r.).

Jest 11-ta, słońce praży — rozkaz, by Strzelcy byli w pogotowiu. Karabiny zdjąć wolno, ustawić w kozły, trzymać się w cieniu przy drodze. Kilkanaścieset ludzi rozkłada się w koniczynie i owsie przydrożnym. Plutonowi robią spisy swych ludzi, zapisują braki w umundurowaniu — pojawiają się garstki butów, czapek, bielizny trochę, mundurów. Nie starczy na wszystkich — daje się niezbędnie potrzebującym. Byle czapki mieć z orzełkiem! Dadzą nam resztę w Miechowie — pocieszają się chłopcy. Jasiek kupił sobie w mieście sztylpy i priczezy. Bluza ciasna, to prawda i czapka za mała — no, ale trudno — schudnie się jeszcze w marszu, bluza prawie będzie — a czapka — no, mniejsza, dobrze, że jest. Plecak tylko gnie-

http://rcin.org.pl

cie niemiłosiernie — rzemienie wyżłobiły już krwawe smugi, pieką na upale. »To nic, to tymczasem — pociesza Jasiek Hankę — w Królestwie będzie lepiej, będzie więcej furmanek, cisnę gdzieś plecak na wóz«. Siedzą w koniczynie otoczeni plutonem Płomienia. Chłopcy opowiadają Hance, jak im wczoraj wieczór dał komendant czekolady i albertów i papierosów, przywiezionych mu przez Hankę.

— Dobry oficer nasz komendant — stwierdzają.

— Hej chłopcy! w górę Płomienia!

— W górę!

Kilkanaście mocnych rąk porywa Jaśka, niknie wśród szamocącej się garstki, by się za chwilę pojawić nad głowami ich, z śmiejącą twarzą, rozbawiony sam, w rozbawionej gromadzie żołnierzy-dzieci. Przykład działa zaraźliwie. Następny pluton też chce uczcić swego komendanta. Rozpoczynają się wzloty w górę, przemieniają się w figle, w harce — na wszystkich twarzach śmiech,

http://rcin.org.pl

beztroska — aż kipi młode życie, jasna radość — i może jednej tylko Hance przychodzi myśl, że za niewiele dni szereg tych roześmianych twarzy, będzie leżało powleczonych szarą martwotą w wieczystym śnie — —

Mijają godziny — słońce dawno stoczyło się z południa — już i głód dokucza od ranniejszej herbaty. Oczy zwracają się ku głównej komendzie, lecz nie przychodzi rozkaz zbiórki, ni wymarszu. Chłopcy jedzą chleb dobyty z plecaków. Pojawiają się panie z wielkimi stertami chleba — roznoszą herbatę. Trochę mało na młode, zgłodniałe żołądki — ale to wojna — trudno! dobrze, że i to jest! nikt nie narzeka, nikt obiadu nie żąda.

— Hanuś — posłuchaj piosenki ślicznej — mówi Jasiek i zciszonym głosem śpiewa:

»O, mój rozmarynie rozkwitaj się!
O mój rozmarynie rozkwitaj się...
...ułani werbują, strzelcy maszerują,
— Zwerbuję się...
Dadzą mi konisia cisawego...«

http://rcin.org.pl

Czemu taka tęskna nuta piosenki — czemu taka smutna jak niepokój, jak żal — jak czekanie bez końca — jak bezsilna tęsknota — —

»...dadzą mi buciki z ostrogami
I siwy kabacik, i siwy kabacik z wyłogami...«

Jezus jak boli — Hanka chce krzyczeć, by przestał — nie chce! — nie chce! — cudna piosnka, jak uśmiech ginącego żołnierza — jak ostatni kwiat rzucony mu do stóp — melodya szarpie serce, owija się o nerwy — drga stłumionem łkaniem.

»...O mój rozmarynie, rozkwitaj się!«

Milknie Jasiek. Trzepocą powieki Hanki w bladej twarzy. Jak boli — —

W obozowisku zrywa się ruch, gwar. Od Krakowa pędzą auta, a z nich sypią się białe kartki — jak białe ogromne motyle fruwają, nim na szosę upadną. Jak rój białych ptaków, wieści z daleka, sypią się między podbiegających Strzelców. Wydzierają sobie te kartki z rąk. Jest ich dość, czytają głośno:

http://rcin.org.pl

»Polacy! W Warszawie utworzył się Rząd narodowy. Obowiązkiem wszystkich Polaków jest skupić się solidarnie pod jego władzą. Komendantem polskich sił wojskowych mianowany został obywatel Józef Piłsudski, którego rozporządzeniom wszyscy ulegać winni.

Rząd Narodowy.

Warszawa, 3. Sierpnia 1914 r.

Rząd Narodowy w Warszawie! Jezus Marya! W Warszawie! Nasz rząd narodowy — jedność — porozumienie z Warszawą! Ogarnia zapał, uniesienie, szał! Chłopcy śmieją się, płaczą — rzucają sobie w objęcia.

Z pałającemi oczami, bladą z uniesienia twarzą zwraca się Płomień do Hanki.

— Hanuś! pamiętna chwila! o, cudna chwila! Ty słyszysz? Nasi zdobyli Miechów — maszerują na Jędrzejów! Warszawę! W Warszawie Rząd Narodowy! Ach, Hanko!... Głos mu się łamie, drży cały.

A w Hance dusza gnie się od wrażeń

http://rcin.org.pl

wszystkich — od wzruszeń tylu a tak różnorodnych — chce się cieszyć, chce płakać — patrzy w rozgorączkowaną twarz Jaśka — słucha szalejących okrzyków — ogarnia ją omdlewająca niemoc — —

Siedzą w skupieniu na polach przydrożnych. O 8-ej zbiórka. Plecaki przytroczone — karabiny pod ręką — po zbiórce wymarsz ku Racławicom. Nastrój ciągle jeszcze upojenia pełen, choć poważniejszy i cichszy.

Godzina rozstania się zbliża.

— Nie będziesz płakać, Hanuś — mówi Jasiek — słuchaj ja nie chcę byś płakała.

A Hanka, której wola Jaśka prawem, przemocą wstrzymuje palące łzy, że padają z powrotem w głąb serca, jak ołów ciężkie.

— Gdy będzie zbiórka zostaniesz tu — będziesz mnie widzieć z daleka — a potem, gdy ruszymy, przejdę obok ciebie — raz jeszcze mi podasz rękę.

Hanka milczy — siedzi obok Jaśka bez łez, bez słów — i tylko patrzy na niego, chłonie go w siebie oczami na nieskończenie

http://rcin.org.pl

długie dni czekania i tęsknoty — na pamięć się uczy tej twarzy ukochanej, znanej przecie tak dobrze, na pamięć każdego szczegółu, drgnięcia ust, poruszenia brwi — —

Zbiórka!...

Już!...

Uścisk przemożny, krótki, jeden — na śmierć i życie.

Zbiórka!...

I ustawiają się szeregi — szeregi bez końca — sypią się kompanie — lecz cóż to? nie do wymarszu?... Kompanie otrzymują rozkaz ustawienia się opodal na ścierniach. Tworzy się czworobok. Kompania obok kompanii. Hanka stoi na szosie — patrzy... Przyjeżdża Ryszard — spostrzega Hankę.

— Wy tu — obywatelko? jeszcze? możecie zejść do kompanii 12-ej. Jeszcze amunicyę się rozda, nim wyruszą.

O komendancie Ryszardzie — żebyś wiedział, jak gorącą wdzięcznością zabiło dla ciebie jedno małe, zmęczone, słabe serce kobiece!

http://rcin.org.pl

Chłopcy już wiedzą, że dostaną amunicyę — radość!

Zmierzch na ścierniskach zapada — szarzeje ogromna plama siwych mundurów — na zachodzie gasną ostatnie złote smugi. Zajeżdżają wozy z amunicyą — z każdego plutonu wychodzi kilku po swoje paczki. Rzucają się na nie chciwie, jak dzieci na cukierki — ładują chlebaki, patrontaszki, kieszenie — każdyby chciał jak najwięcej, każdemu nie dość. Płomień musi każdemu niemal z swych chłopców rachować, czy nie wziął za wiele — by wszystkim starczyło. Wreszcie wszystko rozdane. Nad polami zalega mrok. Chłopcom przychodzi dobra myśl — łamią skrzynki — i wnet ognie rozbłysły na równinie. Nie widać Ryszarda — nie trąbią wymarszu — Strzelcy rozsiadają się przy ogniskach.

Hanka oparta o ramię Płomienia. Cichy, głęboki ból — cudna świadomość polskiego wojska — majacząca nadzieja wolności — marsz ku Warszawie — rozłąka i ta straszna

http://rcin.org.pl

pustka potem — wszystko zlewa się w uczucie bolesne, napięte, poważne. Wsparta o ramię Płomienia, patrzy w buchający iskrami ogień. Jak pięknie! Ogromna przestrzeń, drgająca plamami siwych mundurów — coraz czerwone ogniska rozświecają sylwetki skupionych wkoło Strzelców — nad nimi niebo szafirowe pełne gwiazd — na zachodzie jeszcze gasnąca, żółta łuna. Przytula się mocniej do Jaśka. Stary sierżant siedzi z nimi. »Nie bójcie się obywatelko, wróci zdrów i cały« mówi do Hanki. »Z wolnej Warszawy!« dopowiada Płomień.

Trzaska ogień — sypią się iskry — płyną myśli — —

— Hanuś — moja cudna — maleńka — nigdy ci nie zapomnę twego przyjazdu — i nigdy mi nikt tem nie będzie, czem ty — kocham cię — ty całe moje jedyne szczęście na świecie.

Szeptane ostatnie słowa — ostatnie słowa pożegnania...

Gasną ognie — nadlatuje tętent koni. To

Fundacji im. J. J. Michalskich
Ze zbiorów

http://rcin.org.pl

Trojanowski i adjutant jego. Grzmi głos Ryszarda: Chłopcy nie jedliście cały dzień — co chcecie — rozejść się na kwatery i jeść — czy marsz nocny do Racławic na moskala?

— Na moskala! na moskala! — runęło jak echo tysiąc głosów.

Rozwijają się czwórki, wysuwa się pochód na gościniec.

— Idź już — prosi Płomień — jest bardzo blady — głos brzmi dziwnie głucho.

— Dojdę obok ciebie do kwatery — zostanę przy komendzie głównej — błaga Hanka.

Idą. Płomień obok swego plutonu — wije się czarny długi wąż wojska.

Komenda główna.

— Idź już — Jasiek ręce Hanki do ust tuli...

— Nie! nie! Jaśku! nie! nie!

— Idź! boję się o ciebie — noc — chcę cię widzieć w domu.

Przystaje — ogarnia ją ramieniem, do

http://rcin.org.pl

piersi tuli — jakiś głuchy, krótki jęk przewala się w tych piersiach...

— Moja! — idź już.

— Jaśku!...

Ginie czarny wąż polskiego wojska w przepastnej nocy — ku wybawieniu idzie — ku świtaniu — — —

Kraków, 5 sierpnia 1915 r.

---

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

II.

Z MINIONYCH DNI

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

Patrzyła w jego rozgorączkowaną, czerwoną twarz, niespokojne ruchy — nadsłuchiwała nierównego oddechu, który wydobywał się z rozchylonych spieczonych warg. Było południe. Słońce stało wysoko na niebie i padało długą jasną smugą w rozwarte wrota stodoły — porozrzucana słoma na boisku lśniła iście czyste złoto. Ciemne, czerwonawe belki, rozjaśniały się w jarzącem świetle, nabierały jakichś gorących, nasyconych tonów. I tylko karabiny, w kącie, do których nie docierało światło odcinały się ostrym chłodem swej stali — bezbarwną połyskliwością drzewa.

Przez otwarte wrota widać było podwórko, po którem ufnie spacerowało cielę i kury

http://rcin.org.pl

zbierające gorliwie ziarna, co się przy zwózce wytrzęsły. Nie płoszyła ich głośna rozmowa kilku strzelców, piorących sobie koszule w cebrzyku. Na podwórku było gwarnie. Wśród śmiechu golił się opodal obywatel giletką znalezioną u kogoś, trochę wprawdzie zardzewiałą, bo co chwila rozpaczliwe okrzyki, lub dosadne polskie klątwy utrwalały w przekonaniu resztę amatorów, czekających wkoło eleganta swej kolei — iż czeka ich subtelna tortura. Niemniej czekali.

Gwar na podwórzu w niczem nie przeszkadzał śpiącemu w stodole. W pewnej chwili młoda kobieta siedząca obok niego, wstała cicho i wyszła. Była wysoka i smukła, ubrana w kobiecy mundur strzelecki — ciemne kręte włosy wymykały się z pod maciejówki i okalały twarz zmęczoną o dużych głębokich oczach. Obecnie między oczami temi leżała pionowa bruzda niepokoju. Podeszła ku golącemu się strzelcowi.

— Obywatelu Słachu — pójdźcie zobaczyć, co jest Jaśkowi, śpi z rozwartemi ocza-

http://rcin.org.pl

mi, rzuca się — oddech taki urywany, krótki!...

Żołnierz rzucił giletkę — szybkim ruchem obtarł rękawem starannie przed chwilą namydloną twarz i poszedł ku stodole. Z progu patrzył długą chwilę na śpiącego niespokojnie kolegę.

— Gorączkuje — nie niepokójcie się obywatelko — trzeba żeby się zgłosił do doktora.

— Kiedy nie chce — odparła Hanka — nie mogę go przekonać. Twierdzi, że skoro poszedł, wytrawa do końca. Wy nie wiecie, jakie ma rany na nogach, a idzie mimo to tyle dni! Prosiłam go, by choć na wóz usiadł — nie! za nic!

— Tak — Jasiek jest zacięty — wiemy — a przecież, gdy go zmoże, będzie musiał się zgłosić.

Zbliżył się do chorego i delikatnie ujął jego rękę. Liczył puls.

— Puls dobry — rzekł cichutko — sądzę, że to tylko przemęczenie — nie nawykł do

http://rcin.org.pl

głodu i ciężkich marszów — pomału się wciągnie.

Chory żołnierz otworzył oczy — gwałtownym ruchem usiadł.

— Co to? zbiórka? — pytał wpół przytomnie.

— Ale gdzież tam, Jaśku! No, jak ci tam — przespałeś się — obywatelka Hanka niepokoi się o ciebie.

Młody strzelec podniósł się ciężko z ziemi. Przeciągał się długo, stękając, jakby rozruszać chciał zbolałe członki — potem zwrócił się do Hanki.

— Nie bój się Hanuś — nic nie będzie — to przejdzie — początek! każdy początek trudny.

— Chodźcie na pole — zaproponował obywatel Stach, dotykając z niepokojem poczynających piec, pod obeschniętem mydłem policzków — słońce najlepiej wam zrobi — ogolę cię, Jaśku, znaleźliźmy giletkę — chcesz?

Na słońcu istotnie rozruszał się Jasiek. Zasiadł nawet na balansującej żerdce — je-

http://rcin.org.pl

den z kolegów trzymał lusterko — a Jasiek z wysiłkiem, wśród żartów towarzyszy, usiłował wydobyć z dezelowanej giletki dawne właściwości.

Hanka usiadła na progu stodoły. Zamyślona patrzyła na niego. Oto już przeszło miesiąc tych trudów, głodu, umęczenia — odkąd wyszli z Krakowa — i ani razu jeszcze nie zetknęli się z wrogiem. Bodaj bitwa — a ożywiłaby wszystkich. Co zamierza Piłsudski? W Jędrzejowie, gdy wpadła po prowianty i meldowała się u kom. narodowego— odciągnął ją Bobrowski w framugę okna: »Słuchajcie, powiedzcie Ryszardowi, żeby mi dawał dokładnie znać, gdzie przesłać prowiant! Wczoraj wysłałem dwa wozy we wskazane miejsce, a tu już ogniska zastygły po obozie«.

Tak, to prawda — idą, kołują — marsze nocne — krótkie postoje — jeść nie ma co — z każdego postoju wracają maruderzy — teraz Stach! Gorącemi rozmiłowanemi oczami objęła jego postać. Zostały dumne harde oczy,

http://rcin.org.pl

wyniosłe czoło, twarda linia brody — ale jak wychudła, wynędzniała twarz — jakie trudne, ciężkie ruchy.

Przypominała sobie salę koncertową u Lahmana w Dreznie — wysmukłą postać Jaśka w eleganckiej czerni smokingu — jego drgającą twarz, oczy pałające — i małe, twórcze ręce na klawiaturze.

Jak dawno! zdaje się rok temu, a to tylko miesiąc.

I widzi siebie samą, w białej, powiewnej sukni, cała promienna i szczęśliwa, jak stoi koło fortepianu w przedziwnem upojeniu.

Kiedyż znowu! kiedy!...

Poco poszli!

Polska — Ojczyzna — czy zrobią co — czego dokonają — ta garsteczka ich — półtrzecia tysiąca — ta garsteczka, stojąca poza prawami wszystkiemi — dla których sznurek na suchej gałęzi jedyną zapłatą za trudy i znoje.

Piłsudski — Piłsudski — zwolna gasną

http://rcin.org.pl

zwątpienia wszelkie — Piłsudski! on wie! im nie sądzić ani pytać!

I staje przed nią szczupła postać, w cywilnem ubraniu, twarz okolona ciemną brodą — i oczy dalekie, głębokie, chmurne — twarz wodza! Gorąca fala przepływa serce Hanki. Jakaś ufność bez granic — zdanie się na śmierć i życie. Piłsudski! Nazwisko przed czteroma tygodniami nieznane, a dziś na ustach wszystkich. Wódz! dyktator! czemuż nie dyktator — on jeden! on jeden, co w pierwszym dniu stanął, stworzył, zorganizował, ujął — on, co raz jeszcze wyrwał z piersi narodu ten krwawy krzyk: Żyjemy! On, co od lat pracował, przygotowywał, kształcił!

Bodaj zginąć pod jego dowództwem! Tylko nie Jasiek! tylko nie Jasiek! wzbiera rozpaczliwe wołanie. Jasiek chory — jej kochanie jedyne — jej wszystko.

I przypomina sobie jak parę miesięcy temu wracali z wycieczki. Była noc księżycowa i cicha — Hanka myślała, że dziś, ju-

http://rcin.org.pl

tro przyjdzie wezwanie, na które czekał Jasiek — i pójdzie — i oddać go będzie musiała na głód i nędzę — kule — poniewierkę — na tę straszną, hańbiącą śmierć — —

Była noc cicha, księżycowa. Do nóg mu upadła: »Nie chodź, Jaśku! nie chodź! błagam! zaklinam! nie chodź!«

Jasiek ją podniósł. »Słuchaj — mówił spokojnie — nie pójdę — zostanę — jestem Królewiakiem, nie wezmą mnie i tu do wojska — zostanę z tobą, bezpiecznie, daleko od pożogi wojny — Hanuś, powiedz — od ciebie zależy, tylko od ciebie — zostanę — jeno pomyśl chwilę, gdy wrócą z boju zwycięzcy, a mnie między nimi nie będzie — gdy wrócą z boju a ja nie z nimi — i nie na polu krwawej chwały, ale w domu, bezpiecznie...

— Hanuś! — kochałabyś mnie?

— Słuchaj! plułbym sobie sam w oczy i szczęście wszechświata nie osłodziłoby hańby — męki życia.

— Powiedz Hanuś — czy mam zostać — zostanę«.

http://rcin.org.pl

W dwa dni go już nie było — i myśli Hanka o krótkiej, a nad siły tęsknocie, gdy poszedł — i oto jest z nim.

Słońce zniża się na niebie — zbiórka. Obywatel Jasiek na dziś uwolniony — z oczu mu widno, że chory. Chłopcy zbierają się raźno — płot obwieszony schnącemi koszulami — śmiech, wesołe żarty fruwają, jak balony w wesołej gromadce. Wreszcie milkną, pluton wychodzi na drogę.

Odeszli.

— Może się położysz — pyta się Jaśka Hanka, gdy zostali sami.

Jasiek z trudem przeciąga ramiona.

— Nie, wiesz, chodźmy tam na te belki za domem — można się wydrapać na wierzch i siedzieć na nich. Stamtąd rozległy widok — pomówimy.

Idą. Już chłodno trochę. Padają długie, sine cienie — słońce nabiera gorących, roztopionych różowych tonów, jak zwykle przed zachodem.

Jasiek pomaga Hance wejść na belki.

http://rcin.org.pl

Milczą chwilę. Przed nimi złotawe ściernie — zielone kępy drzew — gdzieniegdzie smużka dymu ognisk pastuszych — dal rozległa, gdzieniegdzie czarna plama zoranej oziminy. Nad wszystkiem niebo — ciche, nieskończone — błękit blady, przymglony u widnokręgu, jakby mgłą cichej melancholii zasnuty.

— Nie zimno ci? — pyta Hanka.

— Nie — — wiesz, chciałbym grać teraz — —

Milczenie.

— Pamiętasz — mówi Jasiek trochę zmienionym, cichym głosem — pamiętasz jak grywałem o zmierzchu w ogromnej sali Lahmana... Przypomniała mi się dziś 3-cia symfonia Brahmsa. Jaka cudownie piękna rzecz. Czy pamiętasz, jak słuchaliśmy jej razem? Napisana z szalejącym miejscami polotem — słonecznie pogodna i cudna. Przypominasz sobie te modulacye, gdzieniegdzie lśniące jakby szyderstwem przewykwintnem, leciuchną ironią — a w całości swobodna

http://rcin.org.pl

i jakby niedbała nieco — jak wielka dama — urwał.

— A polifonicznie miejscami już w całkiem nowym stylu — dodał po chwili zamyślony.

Leciuchny wiatr owiewa ich twarze.

— Nie zimno ci? — pyta znów Hanka.

— Nie. Wiesz — tyle melodyi teraz słyszę — chciałbym je wygrać — nie masz pojęcia jak ciężko, że nie mogę ich słyszeć — głębokich, pełnych, dźwięcznych — bodaj na fortepianie tylko! A słyszę je w orkiestrze — śpiew skrzypek, skarga wiolonczeli — słodkie tony fletni — tło zciszone basu — i wszystkie, wszystkie instrumenta w porywającej melodyi. Ale zwłaszcza skrzypki. Gdybym umiał, zaśpiewałbym ci ich partyę— wiesz, taki przejmujący, rosnący wciąż śpiew — a potem rozpryskująca się w łkaniach kaskada.

Milczą.

— Kiedy będę znów grał — mówi cicho Jasiek — czy będę grał...

http://rcin.org.pl

Głos mu lekko drży.

Słońce zapada coraz niżej — niebo płonie złotą purpurą.

— Widzisz, Jaśku — Hanka opiera głowę o jego ramię — jak wrócisz, pojedziemy do Szwajcaryi. Najmiemy sobie gdzieś maleńki domek w górach. Nie będzie nikogo — prócz nas dwojga. Nad nami białe śnieżne szczyty Alp i lazur nieba, rwący potok górski z szumem w białej pianie rozpryskujący się po skałach. U okien krzewy caprifolium i trzepocące się w wietrze firanki — w izdebce półki z książkami — wiesz — takie proste, dębowe półki wzdłuż ścian — i fortepian na środku. Będziesz grał, tworzył, pisał. Stworzysz swą operę-dramat o Buddzie — ja będę czytać, robić ci notatki. A potem wieczorem siądziemy na progu domu — złote gwiazdy będą patrzeć na nas z szafirowego nieba — pachnieć będzie caprifolium — będziemy razem — daleko za wszelką troską ziemską — a z nami sztuka i piękno. Po

http://rcin.org.pl

mlecznej drodze pójdą marzenia nasze het, w bezkres — —

Siedzą bez ruchu. Hanka wciąż z głową na ramieniu Jaśka. Zapatrzeni gdzieś przed siebie, dalecy wszystkiemu, co ich otacza w czystej krainie myśli.

— Wiesz — mówi znów po chwili Hanka — jest we mnie dziwna dwoistość, nie ta dwoistość człowieka, ale jakiś dziwny dualizm między mną a duszą. Mną — zatem myśli, uczucia, mózg, serce, krew — i dusza— to coś nieznanego, przeczuwanego czasem gdzieś za progiem świadomości. Dusza, pierwiastek wieczysty, który był i będzie, dla której życie tu, to tylko materyalizacya chwilowa. Wiesz, mam wrażenie, że otoczeni jesteśmy takimiż samymi duchami przed, czy po materyalizacyi i że one widzą nas szamocących się bezsilnie — patrzą, jak widze z ciemnego wnętrza w jasno oświetloną scenę, na której my gramy. Tylko komu i dlaczego — wieczyste pytanie.

I nie myśl bym się myliła — to dusza, to

http://rcin.org.pl

nie mózg mój — moje myśli troszczą się o moje ciało — jest jedność między nimi — szarpanie chyba wtedy, gdy jedno chce wziąć przewagę nad drugiem — pozatem popierają się nawzajem.

A dusza — czuję ją, nie zawsze, ale mocno — uwięzionego ducha, rwącego się w bezmiar, któremu moje ja jest wstrętne — a gdy tak czuję, wydaje mi się życie, te drobne zdarzenia, bytowanie materyalne, ja sama czemś tak nieskończenie drobnem — tak nic nie wartem uwagi — —

Słońce powoli zapada. Sinawy zmierzch kładzie się na pola, zaciera kontury, jak dobra miękka ręka, co pieszczotą łagodzi ostre kanty życia. Lekki a chłodny już wietrzyk rozwiewa włosy Hanki, obejmuje chłodnym powiewem. Jaśkiem dreszcz wstrząsa.

— Zimno ci — mówi Hanka, budząc się z zadumy — chodźmy.

— Nie, nie — jeszcze chwilę — tak dobrze — prosi Jasiek — myślę o tem, coś mówiła.

http://rcin.org.pl

W doskonałej ciszy przynosi wiatr daleki śpiew.

— Pluton wraca — mówi Jasiek.

Hanka nerwowo pociera ręką czoło — widać, jak ciężko jej wrócić w rzeczywistość. A głosy coraz bliższe. Niesie się pieśń mocna, dumna, porywcza, beztroska:

»Hej strzełcy wraz
Nad nami orzeł biały!...«

— Trzeba pójść. — Wstają oboje. Pomału schodzą z belek.

— Dobrze mi było Hanuś — mówi cicho Jasiek, podnosząc jej rękę do ust — dziękuję ci.

— Kochanie — — głos Hanki drży.

Jest 3-cia rano. Śpią wszyscy w stodole. Zimno. Hanka otula wciąż rzucającego się w gorączce Jaśka. Nie śpi — drży cała z zimna — i wstaje bez szelestu, gdy wsuwa się cichutko żołnierz, by ją zbudzić.

Trzecia jest. Trzeba pójść do odległej chaty, gdzie stoi batalionowy, gotować śnia-

http://rcin.org.pl

danie. Raz jeszcze poprawia na Jaśku płaszcz i wychodzi. Strzelec, co ją zbudził, czeka u wrót. Idą w milczeniu. Świta. Strzelec gasi lampkę elektryczną, przypiętą do munduru. Oboje drżą z zimna.

— Chodźcie ze mną — mówi Hanka — mam trochę herbaty — zagrzejecie się. Lecz młody żołnierz dziękuje — ma jeszcze budzić dwu ludzi — prosi o gorącą zupę na śniadanie. Przy jakiejś chacie salutuje i skręca w bok.

Hanka idzie sama pustą drogą. Szarzeje. Po polach leży biała perlista rosa. Gdzieś koguty pieją. Zimno wywiało senność — ale zmęczona. Już tyle nocy nie śpi! Wczoraj trwał marsz do północy, a potem poszła rekwirować i gotowała śniadanie. Przedwczoraj słychać było całą noc jakąś strzelaninę, emocyonowała się, że będzie bitwa. A jeśli jest kiedy chwila, by zasnąć, niepokoi się Jaśkiem, który już tyle dni gorączkuje. No, mniejsza, dziś się może prześpi pośród marszu na wozie.

http://rcin.org.pl

Wreszcie dochodzi do chaty. Oczywiście kucharzy niema — baba nie chce sprzedać kartofli — twierdzi, że nie ma drzewa pod blachę.

Hankę ogarnia rozpacz.

W drugiej izbie za drzwiami śpi na jedynem łóżku batalionowy z adjutantem — gdyby adjutanta zbudzić. Tenby zmusił babę!

Cicho uchyla drzwi. Naimski głowę zatulił w płaszcz — a na kraju łóżka śpi Karasiewicz — ma tak bladą, zmęczoną twarz i śpi tak spokojnie, że Hance żal i boi się go zbudzić — wysuwa się więc z izby.

Niema kartofli! i niema rady! Baba nie da! Co będą ludzie jedli. Hance na płacz się zbiera. Pójść w pole! ukopać! już późno! Ach, i późno nawet skrobać! a palić! Łzy kręcą się jej w oczach.

Gdzieś w kącie znajduje koszyk drobniutkich kartofli przeznaczonych dla świń! Uradowana wyciąga koszyk. O skrobaniu już nie ma mowy, płucze je czem pilniej w cebrzyku,

http://rcin.org.pl

błagając babę o drzewo — wreszcie zjawia się zaspany obywatel kucharz.

— Kaźmierzu! jak mogliście! cóż zrobimy teraz — są tylko takie kartofle i późno skrobać — i drzewa niema! Obiecaliście, że przygotujecie wczoraj — cóż damy ludziom!

Zmieszany — tłómaczy się Kazimierz. Nie zważając na utyskiwanie baby wyrywa kilka żerdzi z płotu — dziura pod kotłem wczoraj wybita na ściernisku. Za chwilę warzą się kartofle, maleńkie, nieskrobane kartofle w wielkim kotle. Dosypie się mąki razowej — baba innej nie ma — będzie zupa.

Już 5-ta. Zbiórka. Nadciągają kompanie. Idzie Jasiek z pierwszym plutonem — Kazimierzu — zacznijcie rozdawać zupę — prosi Hanka. Szybko zbliża się do Jaśka.

— Jak się czujesz, drogi? — pyta niespokojnie.

— Źle — ale pójdę — odpowiada stanowczo.

http://rcin.org.pl

Hanka widzi, że źle. Usta spieczone, podkrążone oczy czarną obwódką.

— Masz trochę herbaty — pyta Jasiek — nie mogę jeść.

Co za szczęście, że jest herbata — Jasiek wypija szybko garnuszek, a Hanka wraca do kotła.

Nim zjedli , zbiórka. Szybko dopijają chłopcy maleńkie porcye zupy. Karasiewicz na koniu czeka, by się sformował batalion. Hanka z Kazimierzem pośpiesznie ładują kocioł na wózek — niema nawet czasu go umyć. Ciasno na wozie — wóz amunicyi, prowiantów, bagaży oficerskich, cały tren 11-ej kompanii na 4-ech kołach.

— Siadajcie na wozie, obywatelko — mówi Kazimierz — widać, żeście zmęczona — a tu — dodaje, wyciągając zgniecioną kromkę z kieszeni — macie chleb. Schowałem dla was — widziałem, żeście nie jedli.

— Dziękuję — serdecznym ruchem wyciąga Hanka rękę.

http://rcin.org.pl

— No, siadajcie, siadajcie — ruszamy już.

Karasiewicz na koniu krzyczy ostatnie rozkazy i rusza kłusem pierwszy — za nim Naimski.

Jak wozy pociągu szarpnięte maszyną, wyciągają się zwolna kompanie.

Na trzęsącym się wozie kiwa się Hanka, starając usnąć. W zmęczonym mózgu kołują leniwe myśli: mało kaszy — nie starczy w południe dla kompanii — Jasiek poszedł, ledwo się trzymając na nogach — poco to wszystko grane na jasnej scenie przed niewiadomymi widzami w ciemnej wieczności. Zwolna kromka chleba ofiarowana jej przez Kazimierza wysuwa się jej z rąk i Hanka usypia.

---

http://rcin.org.pl

NA ROZSTAJU

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

W pewnej chwili usiadła przy biurku ruchem nieopisanego znużenia. Podparła głowę ręką. — Nie dać się! nie dać się! — szepnęła. Patrzyła w ulicę przygryzając usta. Było słoneczne popołudnie. Wiosna. Przez zamknięte niemal okna czuć było świeże, ożywcze powietrze, pachnące wilgotną ziemią i tym tysiącem wiośnianych woni. W ogrodzie drzewa zieleniły się prześliczną złoto zieloną runią — cała zgraja malutkich, różowych i błękitnych dzieci, jak ruchome barwne kwiatki, rozsypało się z swemi szufelkami po białym piasku. Nawet niańki zwykle znudzone czy gniewne, śmiały się dziś pogodnie. A wszystko kąpało się w promiennem słońcu.

— Wiosna — szepnęła jakby bezwiednie

http://rcin.org.pl

młoda kobieta. Była ładną. Oczy czarne patrzyły teraz chmurnie przed siebie — brwi ściągały się jakby bólem. Kontrast oczu, małe, czerwone usta rozchylały się drgające, spragnione. Żyły one odrębnem swem życiem, niepomne oczu, samolubne, chciwe.

— Wiosna — powtórzyła raz jeszcze.

Przed oczyma stanęła jej wiosna inna. Było to Bóg wie kiedy — rok, czy dziesięć lat — nie wie. Stała w dużym salonie swej ciotki i czekała na wyjście doktora. Przyszła odwiedzić chorą i trafiła na wizytę lekarską. Wiosna była. Okna szeroko rozwarte na ogród — powietrze aż duszne od zapachu fioletowych bzów, odurzających jaśminów i róż. Stała w oknie, wdychając pełną piersią wiosnę. Chwilami chciało się jej wyciągnąć ramiona, głowę w tył odrzucić — upijać się słońcem, błękitem, powietrzem.

Nie spostrzegła, gdy wszedł doktór. Przedstawił się. Zamienili jakieś parę nic nie znaczących zdań. Podobał się jej. Snać chodził po słońcu bez kapelusza, bo twarz miał brą-

http://rcin.org.pl

zową, spaloną już wiosennym żarem. I teraz stał w pełnym słońcu. Oczy jego błyszczały, jak dwa ciemne bursztyny, a na rzęsach roztapiały się w złotawej mgiełce. Stał tak silny i słoneczny. Bursztynowe oczy spoczywały na niej.

Gdy podszedł, miała wrażenie, że w salonie ciemniej — przybladło słońce. Zrobił na niej wrażenie i odtąd codziennie niemal odwiedzała chorą ciotkę. Spotykała go czasami. Mówili zawsze jakąś chwilę. Była go ciekawą, pragnęła bliżej poznać. I dowiedziała się, że nie ma rodziny — że jego jedyną rozrywką polowanie, przyjacielem pies — pozatem dzień przepełniony zawodową pracą. Zrobiło jej to niezrozumiałą przyjemność, że jest sam. Znajomi podnosili jego zdolności — dobroć — rozum. Starała się go spotykać.

Pamięta, raz, przyszedł do ciotki, padał deszcz onego wieczora. Był jakiś zmęczony i zziębnięty — cichutko wysunęła się do przedpokoju stwierdzić, czy płaszcz jego nie

http://rcin.org.pl

przemókł. A potem leciuchno raz jeszcze, dotknęła płaszcza... *jego*...

Marzyła czasem, że są razem — jest jej mężem — mówi mu ty — że ogarniają ją ramiona jego — czuła się w nich tak słonecznie szczęśliwa.

Potem, gdy ciotka wyzdrowiała, wynajdywała co jakiś czas niezwykłe powody, by go zawezwać. On nie wiedział zdaje się o tem wszystkiem — był zawsze uprzejmy, elegancki, bez zarzutu i nic pozatem.

A potem zrobiło się lato i wyjechała na wieś. Nie rychło zapomniała, ale wreszcie rozwiała się gdzieś jego postać w ożywionem, towarzyskiem życiu. Tego lata poznała Jurka — jej Jurka — fala wzruszenia przepływa wrażliwą twarzyczkę — najpiękniejszego, najmędrszego, najlepszego człowieka, jakiego kiedykolwiek znała. I pokochała go bez pamięci. W dwa miesiące była jego żoną — a w trzy, jechał Jurek w szwadronie Wąsowicza gdzieś ku Körösmözo.

Raz jeszcze znieczulonymi już bólem ner-

http://rcin.org.pl

wami przechodzi całą tę gehennę tęsknoty i lęku — tyle miesięcy! tyle miesięcy!

Przyjechał na krótkie ośm dni urlopu. Jezus! jaka była szczęśliwa! Zapomniała o bólu, tęsknocie, czekaniu — żyła tylko chwilą, nim. I przypomina sobie z gorzkim uśmiechem, jak raz, przerzucając rzeczy Jura, co gdzie naprawić, czy wyprać trzeba, znalazła w kieszeniach listy namiętne i czułe od obcych kobiet, wcale niedwuznacznie omawiające ich stosunek do jej Jura — i jakieś strzępy listów jego, pełne miłosnych wyznań — i przypomina sobie, jak Jur jej tłómaczył, że ona jedna jest mu miłością najwyższą i bezcenną, a tamto, to tylko odpoczynek wieczyście naprężonych nerwów, zabawka.

Rozumiała — i nawet żalu nie miała, tylko przestała wierzyć.

A potem straszliwa wieść o szarży Wąsowicza. Pogłoski pierwsze: »zniesiony cały szwadron — ani jeden nie został«. A wszyst-

http://rcin.org.pl

ko rzekomo prawdziwe i pewne. Wreszcie wiadomość, że Jur żyje.

Przypomina sobie drobne fakta, szczegóły całej swej krzyżowej drogi — i aż jej dziwno, że mogła tyle znieść. Beznadziejnym ruchem zakłada ręce na karku.

A w domu pustka — czekanie — wciąż czekanie. By ją sobie zapełnić wpisała się na kurs samarytański — i rozpoczęła pracę w szpitalu mimo próśb Jura, który sobie tej pracy nie życzył. W końcu zdrowie przerwało samarytanizm. Dostała ciężkiej influenzy, potem groziło zapalenie płuc — tygodnie przeleżała sama, z jedną służącą — zgorączkowana, nie pozwalając dawać znać Jurowi — o którym właściwie i nie wiedziała dobrze, gdzie jest.

I wtedy ujrzała znów doktora. Zmieniał go trochę mundur„ ale jak z przed wieków zamajaczył jej wielki salon ciotki, fala złotawego słońca, ciepłe powietrze przesycone zapachem bzów — oczy ciemne jak bursztyn.

http://rcin.org.pl

Wspomnienie zamigotało i zgasło — był jej obcym, obojętnym człowiekiem.

Aż raz, wieczorem — gdy zdenerwowana była więcej niż zwykle — a doktór po użyciu wszelkich słów swej lekarskiej perswazyi, ująwszy jej rękę, począł ją w milczeniu tulić i gładzić — jak dziecko, które pieszczotą chce się przekonać — niewiadomo skąd, przyszła jej na myśl chwila, gdy w szary, deszczowy wieczór, kiedy przyjechał z wizytą do ciotki, wysunęła się do przedpokoju, by stwierdzić, czy mu płaszcz nie przemókł. Patrzyła na niego z ciekawem uczuciem. Była wyczerpana a podniecona zarazem. Przez chwilę chciało się jej położyć mu głowę na piersiach i uczuć się otoczoną jego mocnemi ramionami — i znaleźć się tam, jak w przystani jakiej cichej a bezpiecznej. — Kiedyś, dawno, byłam w Panu zakochana — szepnęła.

Doktór leciuchno się zmieszał. Milczeli oboje. Pożegnał się szybko i poszedł.

Była niby zdrowa — ale wciąż jeszcze

http://rcin.org.pl

szanować się było trzeba. Spędzała długie godziny z książką na bolkonie — skubała szarpie zmęczonymi palcami. Niepokoiła się wciąż o Jura i żyła czekaniem od listu do listu.

W jakiś czas odwiedził ją doktór. Był dobry i miły, choć oboje byli jakby zmieszani. Wychodząc przytrzymał jej rękę długo w swojej — a potem, podnosząc ją do ust, patrzył w nią wymownemi oczyma. Gdy wyszedł, przemknęła myśl, że szkoda, że poszedł — byłaby chciała z nim rozmawiać jeszcze.

Odtąd często myślą wracała do niego. Nie wiadomo dlaczego poczęła wyobrażać, że onby kochał wiernie i serdecznie — że o jego miłość nie trzebaby się bać i lękać. Wyobrażała sobie godziny dobre i ciche z nim — jakąś jasną radość. Gdy przychwytywała się na tych marzeniach, przerażała się. A Jur? a Jur? Ale czuła, że Jura kocha gorąco i niezmiennie — jak dawniej czekała z niepokojem listów, jak dawniej był jej najgorętszą

http://rcin.org.pl

tęsknotą. Mimo to wyrzucała sobie niewytłomaczone uczucie, jakie ją ogarniało. Szamotała się z sobą.

Minęło trochę czasu, doktór nie przychodził — po paru tygodniach dopiero miała mu się pokazać. Trochę otuchy w nią wstąpiło — jakaś radość życia — poczucie wracających sił. Na balkonie ustawiła kwiaty — pielęgnowała je jak ogrodnik z zamiłowaniem i starannością.

Była zdenerwowana, gdy po paru tygodniach weszła do gabinetu doktora. Tenże zbadał ją, z poważną twarzą — a potem, jak dawniej, pieszczotliwie dotykając jej rąk, począł ją informować o jej stanie zdrowia. Miała przyjść poraz ostatni za tydzień, przedtem badanie krwi — nie rozumiała, co mówił. Była niewymownie zmieszana. Dotknięcie jego odbierało jej resztę świadomości — w pewnej chwili objął ją ramieniem — i nie wiedziała sama, kiedy mu głowę na piersiach położyła. Całował ją. Podała mu usta. Na czas wróciła świadomość. Wysunęła się

http://rcin.org.pl

z jego ramion — szedł za nią — Nie! nie! — prosiła. Dał się jej ubrać — tylko na odchodnem przytulił ją mocno do siebie.

Przyszła do domu wpół przytomna. Nie chcę! nie chcę! powtarzała, nie zdając sobie sprawy z tego, co mówi. Noc przepędziła bezsennie — czuła, że ją ogarnia jakaś słodka, mocna fala — czuła, jak ją przenika, jak drży, w każdym nerwie, jak krąży upajająco w krwi. Nie chcę! nie chcę! powtarzała uparcie — jak człowiek owładnięty przymusową myślą.

Tydzień, który poprzedzał ostatnie badanie przeszedł na szarpaniu i szamotaniu się z sobą.

Mizerna i blada stanęła w jego gabinecie. — Ja nie chcę tego, co zaszło poprzednim razem, słyszy pan? — rzekła bezdźwięcznie.— Kocham mego męża i wiem, że pan mnie nie kocha — czasami mi jest tak źle, tak źle — ale ja nie chcę!

Skłonił się przed nią. — Jak Pani każe — a zbadawszy ją, począł lekko i z ożywieniem

http://rcin.org.pl

opowiadać o wystawie obrazów, którą dnia poprzedniego zwiedził.

Słuchała. Jakieś uczucie osamotnienia i pustki obejmowało ją w miarę jak mówił. A on doskonale spokojny opowiadał, kreślił. Bez mała żal jej było, że taki obojętny.

Powstała. — A zatem kuracya skończona, prawda? — starała się uśmiechnąć. Wziął jej rękę i patrzył w oczy. Czy czekał?...

W nagłem wzruszeniu przytuliła się do niego. — Nie mogę — nie wiem — szeptała.

Całował ją miękko. — A widzi pani — rzekł. W mgnieniu oka wysunęła się z pokoju.

I oto jest u siebie.

Co teraz? Co teraz?

Czuła się tak zmęczoną i tak samą i tak spragnioną kochania. Czem zapełnić pustkę? Pracą? Czyż praca wypełni tę tęsknotę, co szarpie każdym nerwem — pali w sercu — szeleje w krwi!... Z głuchym gniewem zdawała sobie sprawę, że tęskni do tamtych objęć, pocałunków, słów.

http://rcin.org.pl

Jak smagnięcie biczem szarpnęła myśl, że jej nie kocha.

Ależ i ona kocha Jura!

Jura — Jura — jakżeż on daleko! Co teraz? Co teraz? Czy poniesie ją ta fala, co podpływa cicho i zdradziecko — szalona — upajająca — namiętna — a Jur?...

Gwałtownym ruchem skryła twarz pałającą w rękach złożonych na stole — łzy popłynęły strumieniem.

— Jur! Jur! — łkała gwałtownie.

Za oknami złociła się wiosna. Drzewa puszczały pąki — zieleniła się trawa — ptaszki fruwały z gałązki na gałązkę ćwierkając radośnie. Cały świat dyszał szczęściem i kochaniem.

---

http://rcin.org.pl

W SZPITALU

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

Szpital. Budynek dwupiętrowy o ogromnych oknach, w drzwiach wchodowych wspaniały witraż potężnego Jehowy, Jowisza — Stworzyciela straszliwego, który jednym drgnieniem władczych brwi tworzy światy, jednym ruchem gromowładnej prawicy ciska je w proch.

Szpital. Sale snać nie na szpital budowane. Przed miesiącami padały w niej słowa nauki i wiedzy. Przed miesiącami w salach tych kształcono ducha ludzkiego, aby szedł ku prawdzie i pięknu — ku doskonałości — dziś leżą tu ranni — jak często ci, co stąd niedawno czerpali wiedzę — dziś ofiary potężnego molocha wojny — molocha wstecznictwa, zabójcy kultury, wolności

http://rcin.org.pl

jednostki — który się karmi krwią młodą i łzami.

Z okien widać drzewa — i płat nieba — i to jest jedyną ozdobą tych sal — ucieczką jedyną dla zmęczonych oczu — zwątpiałego serca.

Mała sala. Szeregi łóżek. Godziny popołudniowe. Przed chwilą wyszli stąd goście, odwiedzający swych chorych — jeszcze na sali drga podniecenie. Przez okna wpada trochę gasnącego już słońca i maluje różowozłote plamy na szarej ścianie.

Na sali ciężko ranni legioniści. Leży trzech z extensyami; drewniane ramy podtrzymujące chore nogi robią wrażenie wieszadeł czy szubienic podręcznych, w okresie ogólnego militaryzmu genialnie skonstruowanych. Jeden z rannych śpiewa co chwila głosem przejmującym — znać po zgorączkowanej twarzy, po rozszerzonych maligną oczach, że stan jego ciężki.

Obok na łóżku siedzi ułan. Chałat szpitalny niedostatecznie okrywa jego potężną,

http://rcin.org.pl

męską postać. Ma bladą twarz i niezmiernie smutne oczy. Usta miękkie, subtelnie narysowane, nerwowe. Siedzi, podparłszy głowę obu dłońmi — zamyślony głęboko. Dalej legionista bez ręki przy stole, pogwizdując, pisze szybko lewą ręką jakąś kartkę. Pod oknem leży blady chłopak, cały pobandażowany jak mumia i tęsknemi oczami wodzi po czarnych pręcikach drzew. Opodal chłopak śmiesznie brzydki, o rozumnych oczach, studyuje ze skupieniem jakieś dzieło. Po sali kręci się zemocyowany snać swą niedawną wizytą smukły żołnierz, o pięknej, nerwowej, namiętnej twarzy — i szarych oczach — twarz ruchliwa, pełna drgań. Szary sweater doskonale uwydatnia młode, smukłe kształty.

W kącie sali, naprzeciw ułana, leży na łóżku ubrany legionista, ręce założył pod głowę. Oczy o długich rzęsach patrzą przed siebie ze skupieniem. Cera przejrzysta, że śledzićby można bieg krwi. Obok łóżka jego leżą książki i pluskiewkami poprzypinane ryciny. W układzie jego postaci przebija

http://rcin.org.pl

doskonały spokój i rozwaga. Opanowanie siebie. Z małego przedsionka, raczej pokoiku drugiego przylegającego do sali dochodzi syczenie gazu i zciszona rozmowa.

— Ja idę do starych, hej słyszycie! do starych!... młodzi! młodzi! — To majaczący Oświęcimka przy ostatnich słowach zaciąga piskliwym dyszkantem.

Ułan pochyla się nad nim.

— Chcecie czego? — mówi miękko.

Chory otwiera ogromne oczy, czarne, błyszczące:

— Wody, wody! — Wasser! Wasser!...

Każde słowo dobywa się z ust, jakby wyrywane z nieopisaną męką.

Ułan głowę jego troskliwie unosi i blaszany kubek do ust przytyka.

— Dziękuję, dziękuję — słowa ciche, trudne, rwące się na zaciśniętych zębach.

W drugim pokoju urywa się nagle syczenie gazu. Na salę wchodzi siostra. Jest młoda i ładna. Niemka. Oczy duże, błękitne patrzą z głęboką dobrocią z pod białego cze-

http://rcin.org.pl

pca. Zbliża się do chorego z filiżanką jakiegoś napoju.

— Oświęcimka napijecie się kawy — pyta łagodnie po niemiecku, pochylając się nad nim. Siada na łóżku i wsuwa ramię pod ciężką, młodocianą głowę.

— Siostra — Schwester — ich liebe sie — i kaskada dziecinnego, nieprzytomnego śmiechu.

— Boli pana? — pyta siostra współczująco.

— Boli, strasznie boli, boli. — I znów słowa rwące się na ustach, jak przejmujący jęk. Głowa Oświęcimki rzuca się konwulsyjnym, rozpaczliwym ruchem po poduszce. Młodociana głowa — zeszpecona czarną obstrzyżoną czupryną żołnierza — o powiększonych bólem, tragicznych czarnych oczach. Nos prosty — o nozdrzach delikatnych, już szarzejących, usta pąsowe, chłopięce, rozwarte nad rzędem połyskliwych zębów.

— Niech się Pan napije trochę — prosi siostra.

http://rcin.org.pl

— Napije — napije — powtarza Oświęcimka. Siostra przysuwa filiżankę do ust — przeszkadzają ręce złożone na piersiach — chce je delikatnie usunąć — ręce zaciśnięte konwulsyjnie, snać tulone do piersi w niewymownym bólu — niemożebne do rozplątania palce — więc z powrotem naciąga biały koc na te biedne rączyny. Oświęcimka wypija kawę gwałtownymi łykami, podobnymi do urywanych łkań. Ostrożnie składa mu siostra głowę na poduszkę.

I znów przeciągła gama najsrebrzystszego śmiechu — a potem nawoływania jakieś — krzyk — słowa bez związku, rzucane jak rakiety.

— Nie krzyczeć, Panie Janku — nie krzyczeć — gładzi mu lekko ciemną czuprynę.

— Nie krzyczeć — nicht schreien — powtarza przenikliwym krzykiem chory — nicht chreien. — Siostra odchodzi.

Zmierzcha się — kilku chłopców z wysiłkiem wlokąc bezwładne nogi — tuląc połamane ręce, dowlokło się do jakiegoś łóżka.

http://rcin.org.pl

Mimo ciężkich ran humory dobre — ożywiona rozmowa — grają w szachy, domino — od czasu do czasu przenikliwy krzyk Oświęcimki zagłusza wszystkich.

Chłopak, leżący dotychczas spokojnie z założonemi rękami wstał i zbliżył się do ułana.

— Chodźcie do mnie — rzekł — tu przykro przy tym biedaku.

— Jak chcecie. — Wstał wolno. Poszli obaj w przeciwną stronę na łóżko pierwszego.

— Coście tacy smutni? — pyta ułana po chwili milczenia.

— Nie jestem smutny — drgnęły mu usta, zsuwając się kącikami w dół.

— Jak się czujecie dzisiaj? — pytał dalej młody żołnierz, niezrażony lakonizmem towarzysza.

— Dobrze — odparł ułan, jakby niechętnie. Tamten zmilkł chwilę i patrzył na niego badawczo.

— Mam dobrą książkę — przyniosła mi ją moja znajoma, widzieliście dziś tę pa-

http://rcin.org.pl

nią — podjął po chwili — reprodukcye jakichś dzieł Laszczki, chcecie zobaczyć?

— Ach! — ożywił się ułan — nie uznaję Laszczki!

— Wiecie co — żywo podchwycił tamten, chcąc na wszelki sposób widocznie rozruszać swego sąsiada — przyszło mi dziś na myśl, byście za parę dni stanęli do raportu, poszli na miasto i przynieśli sobie farby i blok — a potem spróbujecie zrobić moją gębę. Co, dobrze?

Ułan przez chwilę objął głowę sąsiada bacznem okiem malarza.

— Możnaby — rzucił znów krótko.

Franek, bo tak na imię było młodemu legioniście, wykorzystywał wdzięczny temat.

— Czy znacie Kraków? Wiecie, gdzie Sukiennice — linia A-B — tam w rynku na A-B jest Reim — tam dostaniecie wszystkiego.

Krzyki Oświęcimki zciszyły się nieco — widać chory zdrzemnął.

— Tamten kona, a my tu rozprawiamy —

http://rcin.org.pl

odezwał się nagle szorstko ułan — jak gdyby go ta myśl dręczyła.

— To prawda — zahartowały się nerwy— odparł Franek. — Wszystko jedno i nam tak kiedyś!... Ale przedtem — wiecie — marzy mi się Abschub do Wiednia. Chciałbym raz dotrzeć do Burgteatru — raz zacząć swą pracę! Wiedeń — a potem kiedyś Paryż, Berlin, Londyn, wszystkie sceny europejskie. A potem, potem — wczoraj wyście mnie źle zrozumieli, ja nie marzę dziś o stworzeniu nowego teatru — chciałbym tylko znaleźć artystów — prawdziwych urodzonych na aktorów ludzi — wykształcić ich — pokazać, że to wszystko dziś tandeta i mieszczaństwo — że sztuki, czystej sztuki w tem wszystkiem niema. Urwał — zamyślił się chwilę. — A potem inscenizacya wspaniała, bajkowa. Pomyślcie Szekspira albo starożytnych — zatracałoby się wrażenie teatru.

— Młodzi jesteście, próbujcie — rzucił ułan.

http://rcin.org.pl

— A wy? — spytał Franek, patrząc mu serdecznie w oczy.

I znów grymas, drgnienie osuwanych kącików.

— Ja, przeżyłem już to wszystko.

— Tak! tak! Mając 28 lat — oburzył się tamten.

— A tak! Można i w rok. A zresztą, ja wnet pójdę w pole.

— Niedawno wstaliście przecież!

— Wiecie, że po bruchu krótka kuracya. A i dobrze — wolę iść.

Franek się zasępił.

— Nie tęsknicie do swej sztuki — spytał po chwili.

— Może — odparł tamten — ale dziś mym obowiązkiem się bić. Czasem — czasem przychodzi mi grzeszna myśl, że to wszystko i tak na nic. Ale cóż stąd — poszedłem sam, nikt mnie nie ciągnął — nienawidzę moskali każdą kroplą polskiej krwi — i będę ich bił bodaj zginę. I zresztą nie mam czego w życiu żałować — dokończył.

http://rcin.org.pl

— A kobiet — rzucił raz jeszcze Franek.

— Ech — ułan pogardliwie machnął ręką. — Wiecie, nie szczególnie trafiałem — choć był czas, że w Warszawie należałem do tak zwanej złotej młodzieży — trochem zdrowia stracił w tem wszystkiem — ot co. A innym znów razem wystarczyło mi patrzeć. Kochałem się rok w jednej — codzień ją spotykałem w szkole sztuk pięknych — i codzień przyglądałem się jej chwilę. Wystarczało — nie pragnąłem poznać.

— Nie wierzycie, że może być miłość głęboka, mocna, dająca skrzydła — przez przejrzystą twarz Franka przepłynęła łuna.

Zamyślił się ułan.

— Pragnę jej, ale czy spotkam... A zresztą teraz nie chcę. Nie chcę tęsknoty, cierpienia, które żre tam gdzieś w polu, daleko — chcę być sam i mieć wolną głowę — jestem żołnierzem.

Ściemniło się. Rozbłysły lampy. Rozbudził się Oświęcimka i rozpoczął znów swą powolną torturę. Ułan wrócił do niego —

http://rcin.org.pl

podawał bez końca wino, papierosy, ciastka. Chory wpółprzytomnie żądał, by odrzucić za chwilę. W jakiejś chwili siostra zastrzyknęła mu morfinę. Wszedł lekarz na salę.

Był ogólnie lubiany przez legionistów, młodym jeszcze mężczyzną o dobrym, rozumnym wyrazie, pogodnie patrzący przez swój cwikier. »Regimenckiego« słowo ważyło więcej, niż cała litania głównego lekarza. Był wyrozumiały i sprawiedliwy — chłopcy umieli to cenić. Szedł teraz od łóżka do łóżka, czytał temperaturę z kartek, z każdym pomówił słów kilka. Przy Oświęcimce zatrzymał się dłużej. Chory był spokojniejszy po morfinie. Badał go delikatnie, oględnie. Miał odejść, gdy zawrócił raz jeszcze.

— Może pan chciałby czego — jeść coś, czy pić — zapytał. Oświęcimka zaprzeczył ruchem głowy: — Mam wszystko, dziękuję.

— A możeby pan pragnął rodziców zobaczyć — gdzie mieszkają? — pytał miękko.

— Tak, rodziców — mieszkają w Słotwinie. Dacie znać?...

http://rcin.org.pl

— Dziś jeszcze — odparł żywo Regimencki. Odwrócił się szybko. Przy drugiem łóżku miał już swój zwykły, urzędowy ton.

Gdy wyszedł, Oświęcimka począł się skarżyć, że mu źle leżeć. Siostra poprawiała twarde materace na wszystkie strony, ale ciągle było źle. — Chciałbym siedzieć, byłoby mi lepiej! — Wyciągnięta noga nie dozwalała usiąść — wtedy sąsiad jego, ułan, uniósł go lekko i usiadł za nim, opierając go sobie na piersi.

— Dobrze tak? — pytał cicho i troskliwie, jak kobieta.

— Wspaniale! — uśmiech blady rozjaśnił zmęczoną twarz Oświęcimki — wspaniale!

— Siostro Janino, co mówił Regimencki o Oświęcimce? — pytał Franek, wysunąwszy się do przedpokoju.

— Że za dwa dni koniec — odparła siostra. — Biedactwo! Tyle w nim sił żywotnych, serce zdrowe, dlatego tak długo się

http://rcin.org.pl

męczy! Ale jest sepsis i szereg komplikacyi — nie da rady.

— A przecież, gdy go do nas przywieźli, mówili doktorzy, że wyjdzie.

— Miało się nadzieję, zrobiło się drugą operacyę, ale już było za późno — zakażenie głęboko tkwiło.

Stoją oboje przy oknie. Za oknami szary mrok — na ulicy rozbłyskują latarnie.

— Czy Władek już wrócił? — pyta po chwili znów Franek.

— Nie jeszcze — cały dzień go dziś nie widziałam — rano miałam operacyę, a teraz on u okulisty.

— Wieczorem porozmawiacie. Pewno tu prosto przyjdzie od okulisty.

Sanitaryusze wnoszą kolacyę — za nimi wchodzi legionista młody.

— Otóż i Władek — mówi Franek.

— Jest tu siostra Janina? — pyta z progu, a dostrzegając ją w oknie podchodzi szybko.

— Cały dzień cię nie widziałem — całuje serdecznie jej ręce.

http://rcin.org.pl

— To samo przed chwilą powiedziała siostra Janina — śmieje się Franek.

— Serwus! Franek! Co u was słychać?

— To samo — zawsze to samo, zwykłe dzieje szpitalne. Ale idę jeść teraz — żegnam zakochanych! — figlarnie przesyła całusa.

Siostra Janina kładzie zmieszana palec na ustach.

Jest noc. Chłopcy śpią — jeden Franek siedzi przy stole i czyta coś — chwilami podnosi głowę i patrzy bacznie na śpiącego ułana, czy tenże istotnie śpi. Ciszę przerywa śpiewanie i co chwila zrywające się krzyki Oświęcimki.

Na łóżku swem, krótkiem, wązkiem łóżku leży ułan. Nie śpi. Krzyki i jęk Oświęcimki wwiercają się gdzieś w mózg. Cały ten mózg już i tak obolały i zmęczony.

Coby dał teraz za chwilę samotności! Pracownia jego — ogromne okna fantastycznym, przejrzystym rysunkiem pokrywa mróz — leży na otomanie, ręce założył na głowie.

http://rcin.org.pl

Och, jak mu czasem brak życia kultury — domu — matki — wspaniałych godzin pracy! Pełną ma głowę obrazów, pomysłów, scen. Co za przebajeczne rzeczy przewijają się w polu! jakie barwne! co za motywy! Usiłuje pamiętać — coś czasem kreśli w notatniku — ale barwa! barwa! te plamy kolorowe, nasycone, pełne, soczyste! Zatrą się!

Źle mu jest. Miał właśnie jechać do Paryża przed wojną. Nie zdążył. Poszedł sam, dobrowolnie i nie cofnie się! Nie użyje zwykłych wybiegów, wykrętów — za wysoko ceni swój honor żołnierza! Poszedł sam, bić się za Polskę! Jak stado kruków na świeży żer zrywają się myśli — za Polskę...

Od miesięcy szarpie się sam z sobą. Zwątpienie, jak skorpion wżarło się w serce... Czy dobrze uczynił, że poświęcił życie swe, on, z tą szaloną żądzą, umiłowaniem życia — rzucił dom, matkę, bez możności wieści od niej — że cisnął swą sztukę — pracę — wysiłki — dążenia do sławy... Czy nie byłby służył taksamo Ojczyźnie, gdyby kiedyś — sła-

http://rcin.org.pl

wnego malarza — polskie jego nazwisko rozbrzmiało po świecie. Czyż u licha koniecznem było zniszczyć marzenie od dziecka wypieszczone — popalić mosty za sobą — przekradać się z wysiłkiem i trudem do Galicyi. Czy przyda się na co ofiara jego?...

A jeśli się pomylił?...

Przewala się ciężko na łóżku.

— Nie śpicie? — pyta półgłosem Franek. Lecz ułan milczy.

— Spokoju! spokoju! Sam chce być! sam!

— Mamo, mamo — biegnie cichy szept z łóżka Oświęcimki. Coś mówi szeptem szybkim, niezrozumiałym, skarży się, czy prosi.

Ułan porywa się z łóżka.

— Co ci? — pochyla się nad nim. Jakimś niezgrabnym, ostrożnym ruchem gładzi mu włosy. — Chcesz pić może?...

Oświęcimka patrzy bezprzytomnie i jeszcze coś szepce.

— Boli? — pyta cicho ułan, dotykając pieszczotliwie rozpalonego policzka.

http://rcin.org.pl

— Boli! boli! źle! obróćcie mnie. — Ale obrócić się nie da. Więc go tylko poprawia, przesuwa, obraca gorącą poduszkę. — Lepiej tak? — pyta.

— Źle! źle! boli! — jakieś głębokie szlochanie, rwące się, śmiechem wyrywa się z piersi. Ułan bezsilnie patrzy na męczącego się towarzysza.

— Jacyście delikatni, jak kobieta — pada od stołu zciszony głos Franka. — Będziecie spać?

Ułan potrząsa głową. A potem zarzuca chałat, naciąga pantofle, milcząc poczyna chodzić po sali.

— Czekajcie, będę wam czytał, o ile dyżurna nie przyjdzie, nie mogę spać — w nocy najlepiej pracuję — noc mnie podnieca i daje jasność i sprawność myśli. — Przerzuca kartki — ułan wciąż chodzi tam i nazad, tam i nazad.

Przerywane majaczeniem Oświęcimki padają w ciszę szpitala potężne słowa:

http://rcin.org.pl

»O wy twory wieszcze
Jeśli przed wami przeznaczenie chyli
Wszelką zasłonę, powiedzcie mi, czyli
Potomstwo Banka będzie kiedykolwiek
Rządzić tym krajem!...
(Lady Makbet Shakespeare).

I znowu popołudnie. Godzina wizyt. Jakaś pani z Ligi kobiet chodzi po sali, rozdaje papierosy i cukierki.

W małym przedpokoju przylegającym do sali siedzi na stole Franek. Pod oknem stoi siostra Janina, opodal Władek. Rozmawiają cicho.

Przez okno wpada blade, zimowe słońce.

— Za tydzień święta — wzdycha Janina — Boże Narodzenie! Już drugie święta w szpitalu!

Franek żartuje — stara się ożywić smutny nastrój.

— Kto wie, czy nie będę właśnie w drodze — chmurzy się Władek.

http://rcin.org.pl

— Regimencki tego nie zrobi — protestuje Franek.

Otwierają się drzwi. Poprzedzana przez sanitaryusza wchodzi do pokoju para ludzi i natychmiast cała uwaga przenosi się na nich. Kobieta i mężczyzna. Są ubrani czarno — po mieszczańsku — starzy już. On wysoki, barczysty, wspierający się na lasce, zamiast nogi jednej proteza, żołnierz z pod Krasnika. Ona blada, drobna, zalękniona — siwe włosy wymykają się z pod koronkowej chusteczki. Wchodzą na salę. Las extensyi miesza ich trochę. — Na lewo — mówi sanitaryusz. Szli na prawo — zawracają. Cała sala patrzy na nich.

— Jan Oświęcimka — ot tu, drugie łóżko. — Sanitaryusz odchodzi.

Oświęcimka po morfinie leży cichy i wyczerpany.

— Rodzice — wybiega szept, usta drgnęły uśmiechem.

— Synu! — jakiś głęboki jęk matki. Klęczy przy nim. Patrzy chciwie w zmienioną

http://rcin.org.pl

twarz. — Synu! synu! — szepcą trzęsące się usta. Łzy, jak paciorki różańca staczają się jedne po drugiej — ciężkie łzy matczyne. Tuli jego ręce do ust — dotyka twarzy, czoła.

— Mój Janek! mój syn! — zapamiętuje się w tym słowie.

A on leży cichy — przymknął oczy — jak dziecko poddaje się pieszczocie matczynej.

Na krześle z drugiej strony siadł ojciec. Ręce złożył na lasce — głowę wsparł na rękach. Patrzy w syna. Nie mówi słowa. Chwilami drgają brwi siwe — grube, siwe brwi nad pomarszczoną twarzą.

Mijają chwile.

Wciąż klęcząc przy łóżku, głowa przy głowie, szepce stara matka Jaśkowi ciche słowa pieszczoty. Zdaje się jej, że Janek znów mały — maleńkie chore jej dziecko — jej jedno — jej własne. Zapomina, że to szpital, nie widzi extensyi — oto siedzi nad kołyską i tuli swą dziecinę. — Luli, synku — luli!

Przeciągły jęk chłopca budzi ją w straszną rzeczywistość.

http://rcin.org.pl

Siostra Janina zbliża się do łóżka.

— Napije się pan wina? — Podnosi głowę ostrożnie, powoli przechyla kubek.

I widzi matka, jak słabym jej Janek — oto głowy nie podniesie — nie ujmie kubka. Rozszerzonemi trwogą oczyma śledzi twarz siostry — a gdy ta wstaje, czołga się za nią. Niememi, błagalnemi oczami pyta.

Siostra Janina przełyka jakiś bolesny skurcz w gardle. Straszna jest ta twarz matki.

— Będzie lepiej, będzie lepiej — szepce — doktór mówił, że będzie lepiej.

— Będzie lepiej — powtarza błędnie matka. W oczach błysk nadziei, niedowierzanie, potworny lęk.

Ale oto czwarta i odejść trzeba.

— Jutro przyjdę — Janeczku — jutro — szepce pochylona nad łóżkiem — jutro Janeczku...

Powtarza wciąż to samo. Nie ma słów — tylko bladą, poszarzałą twarz — syna widzi, jedynego jej Jaśka.

http://rcin.org.pl

— Mamo — szepce chłopiec. Szeroko rozwartemi oczami patrzy w matkę — i z oczu tych ściemniałych od bólu, lśniących od gorączki ściekają na poduszkę dwie łzy.

Bez słowa żegna się ojciec. Kreśli na czole jedynaka krzyż — a potem całuje go raz jeden w usta. Żołnierzem jest! Drgają siwe brwi w pobladłej twarzy — drgają siwe wąsy. Podaje żonie rękę. Chrząka głośno — lecz chrząknięcie załamuje się łkaniem. Odeszli.

Na sali leży cisza. Gdzieniegdzie twarz gwałtownym ruchem schowana w poduszki. Zachodzi blade, zimowe słońce — długą, różową smugą wpada przez szpitalne okna. Przeciągły krzyk Oświęcimki mąci ciszę.

Blade, zimowe rano. Budzi się życie w szpitalu — ospałe, leniwe życie. Chłopcy przeciągają się na łóżkach — sanitaryusze podają wodę do mycia — wnoszą śniadanie.

Przy stole siedzi ułan — zamyślony kruszy chleb. Jest zupełnie ubrany — na jego

http://rcin.org.pl

łóżku chlebak wypakowany. Obok niego stoi milczący Franek.

— Macie teraz dwa miejsca wolne — mówi ułan — moje i Oświęcimki.

— Będzie mi ciężko bez was — z wami jednym dało się tak mówić, czytać...

— Taki los wypadł nam, dzisiaj tu, a jutro tam — uśmiecha się blado ułan. A po chwili dodaje: — Darujcie moją szorstkość — może czasem bywałem przykry — ale widzicie — byłem zawsze sam — nie umiem — polubiłem was — głos jego szorstki, jak zwykle.

— Ja was więcej, jak polubiłem — odpowiada krótko Franek. Zazdroszczę wam, że już idziecie! — wybucha — nam najlepiej bić się! Tam w polu niema czasu na myśli i rozmyślania — żyje się szalenie i nie ceni życia — tutaj gnije się! Tak ciężko czasami!

Milczą. Ułanowi przechodzi myśl, że nigdzie nie jest wolny od swego skorpiona.

— O! Rany boskie! — przeciąga się nagłym ruchem!

http://rcin.org.pl

— Kto stąd do transenu? — we drzwiach stoi podoficer — szuka oczyma po kartce trzymanej w ręku.

— Idę — mówi ułan. Szybkim ruchem bierze chlebak, zarzuca ułankę, Frankowi mocno ściska rękę. — Żegnajcie chłopcy — salutuje kolegom. Na korytarzu potrząsa mocno, mocno obie ręce siostry Janiny. Chwilę jeszcze dzwonią ostrogi na schodach.

Na swem łóżku siedzi z książką Franek — darmo szuka dziś w książce pociechy.

Wieczór wigilijny. Już w szpitalu wieczerza spożyta, zgaszona choinka; z 9-tą godziną nastaje zwykła cisza.

Przed szpitalem stoi Janina i Władek. Leży biały, miękki śnieg. Mróz niewielki — drzewa lekko szronem przyprószone stoją senne.

— Gdzie pójdziemy? — pyta Janina.

— Chodźmy nad Wisłę — odpowiada Władek. Idą plantami, aleją srebrnych drzew.

http://rcin.org.pl

— Jak cicho — mówi wzruszona Janina.

— Jesteśmy bezdomni oboje w wieczór wigilijny — zato mamy szafirowy baldachim nad głową, w nim złote lampy — i salę kryształową! Dla nas dwojga cuda dzisiejszej nocy — żartuje z przymusem Władek.

Janina przytula się do niego.

— Rok temu — myśli głośno młody żołnierz — byłem w domu. Z kim dzisiaj matka?... miała mnie jednego... nawet napisać nie można.

— Nie myśl Władziu! Raczej, że za rok będziesz znów z nią.

— Czy będę...

Idą cicho — śnieg skrzypi pod nogami — z ulicy bije blask z oświetlonych okien, gdzieniegdzie jarzy się choinka. W dali, u wylotu plant, czernieje Wawel.

— Władziu, nie bądź smutny — prosi znów Janina.

— Nie, nie — mówi zamyślony chłopak, daruj, że milczę. Tak mi dziwnie i dobrze

http://rcin.org.pl

i smutno. Chce mi się płakać i cieszyć równocześnie.

— Dlaczego?

— Jak ci wytłómaczyć? Widzisz, tęsknię za matką, za domem — cieszę się, żem z tobą — znów się martwię, bo wnet odjechać muszę — cieszę się, że walczę za Ojczyznę, a chwilami — urwał.

Stanęli u stóp Wawelu. Wznosił się przed nimi ogromny, potężny, milczący. Światło księżyca oświetlało jasno zamek, ślizgało się po lśniącej kopule, patynowanym dachu — drgało na szybach — zaznaczało każde załamanie, szczegół każdy. Wznosił się przed nimi w zielonawem świetle księżyca majestatyczny, odwieczny, królewski — jak w sen, pogrążony w głuchą ciszę.

Władek zsunął czapkę z czoła. Stali milcząc.

— Powiem ci Janko — rzekł po chwili drgającym głosem — zgodziłbym się nie wrócić nigdy do domu, matki — dać życie moje młode, byle za rok o tym czasie zamek

http://rcin.org.pl

ten jarzył się tysiącem świateł, rozbrzmiewały kolendy, wrzało życie i ruch—by w wigilijną noc — w katedrze — w królewskiej loży — — Chodźmy stąd! — rzekł nagle szorstko.

Szli brzegiem Wisły. Janina tuliła się do niego nieśmiało, szukając słów.

— Ja wiem, Władku — rzekła w końcu prosto, — że moja miłość bodaj jak wielka, nie zdoła wszystkiego zastąpić — jestem niemką — ale widzisz, mówiłeś sam, że się cieszysz, żeś ze mną — po świętach jedziesz, Władziu — pamiętaj trochę o tem, że cię kocham, jak nikogo w świecie.

— Wiem! wiem! — całował jej ręce — ty droga, dobra — nie przypominaj, że jadę— bądźmy szczęśliwi, ten jeden wieczór szczęśliwi, bez pamięci o tem co złe i co boli.

Stanął. Objął ją mocno ramieniem i chciwemi, młodemi ustami całował.

— Jestem tej nocy młody król! Król-wygnaniec! król-tułacz — a ty oblubienica moja — idziemy w szczęście — —

http://rcin.org.pl

Wisła szumiała sennie w białych brzegach. Światło księżyca spływało w fale, wsłuchiwało się w ich szmery i szepty — kołysało z nimi w cichej pieszczocie. Pustą ulicą szło dwoje młodych, trochę zziębniętych, grzejąc się w mocnym uścisku. Z góry stary księżyc pobłażliwie przyświecał młodej miłości bezdomnego żołnierza.

---

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

PRZECIW FALI

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

Jest rozpaczliwie szary dzień. Siedzę przy biurku z twarzą w dłoniach i myślę. Nie jestem w stanie wziąć się do żadnej pracy. Myślę o was, którzy jesteście daleko — i myślę o panu, jak miesiąc temu, w ciemnym, przejmującym, rannym chłodzie szedł pan ulicami na dworzec.

To dziwne, jak mi ciężko pana pomyśleć sobie w tłumie, choćby w tym tak drogim tłumie legionistów. Pana z wrażliwą swą twarzą — z smutnemi, dalekiemi oczyma, z tą niedającą się określić wykwintną delikatnością ruchów, głosu, postawy. Szedł pan w tłumie, zmęczony, niewyspany, głodny, jak wy wszyscy, którzy odjeżdżaliście — a potem wlókł się wiele godzin rozbity fizycznie i moralnie, dając się posuwać, szeregować,

http://rcin.org.pl

wpół świadom wszystkiemu, co się z panem i wkoło pana dzieje. Tak, myślałam o tem wówczas dzień cały — i bolał mnie ten dzień gdzieś w mózgu i sercu. Wie pan — panie Wicie?

Miesiąc temu. Taki sam dzień szary, chmurny, ołowiany. Siedzę przed biurkiem i patrzę w nieskończoność ulicy. Latarnie jarzą się w niej, coraz mniejszemi, żółtemi plamami zawieszone w mroku. W błotnistej roztopie ulicy kładą się ich odblaski świetlanemi smugami — jest mi nieskończenie ciężko i smutno. Myślę, jak panu teraz jest — dalekiemu panu — i wiem, że bodaj gorzej jeszcze —

Panie Wicie —

http://rcin.org.pl

Pamięta pan naszą pierwszą rozmowę? Szliśmy ogrodem — zmierzch był. Przed nami szeregi szarzejących pni, smukłe, czarne pręty krzewów. W powietrzu ze zmierzchem, leżała jakaś leciuchna mgła.

Mówiliśmy o sztuce. O pana sztuce. I o zwątpieniach pana. Mówiliśmy jak przyjaciele. Pan zwracał co chwila ku mnie swą twarz wrażliwą i przedziwne czarno-szare oczy — i mówił głosem cichym, jak półszeptem prawie, o swej tęsknocie twórczej — o pracy — i o wojnie — o tej, co porwała marzenia wszelkie i kazała szablę ująć w dłoń, tęskniącą do marmurów i dłuta. Jak przyszedł krótki, wnętrzny nakaz i dnia jednego cisnęło się dom, dobrobyt, pracownię—

http://rcin.org.pl

i znalazło na koniu w kożuszku ułańskim i maciejówce zsuniętej na czoło.

Pamięta pan naszą pierwszą rozmowę...

A potem — potem reszta — dopowiedziana urywanemi słowami. Głód piękna, mocy, głębi życia — przeczulenie, które nieustannie cofać się każe w siebie, jak ślimakowi w skorupę — ta bezradność zewnętrzna, polegająca na wrażliwości zbytniej. Szorstkość otoczenia, urażająca dotkliwie artystę bez naskórka — żołnierza, który jeno odwagę i wygórowane poczucie honoru z zalet żołnierskich posiada, któremu brak natomiast pewności siebie i tych tysiąca drobnych, właściwych żołnierzowi przymiotów. I mówił pan, że życie pana nic warte i stracone — że zabić pan chce w sobie pamięć o wszystkiem i jeno za ojczyznę zginąć!

Z namiętną siłą przeczyłam panu — budowałam wspaniałe zamki na lodzie, świątynie z kryształu i tęcz. Nie przekonałam pana — choć raz jeden, na krótko, zdoła-

http://rcin.org.pl

łam rozpalić w oczach pana snop promieni, rozjaśnić uśmiechem usta — nie przekonałam pana.

Dziś, gdy przypominam sobie ową promienną twarz — pamięta pan po powrocie z naszej wycieczki — tam w progu szpitala — myślę, że poświęciłabym nieskończenie wiele, gdyby mi danem było utrwalić ten wyraz raz na zawsze — zmazać smutek oczu i ust — widzieć pana mocnym i szczęśliwym!

---

http://rcin.org.pl

Wie pan co mi się marzy?... Posłuchać bajki — na kominku ogień płonie, za oknami czai się mrok — o szyby dzwoni deszcz — o tak! przysłonić ręką oczy, na kominek drzew dorzucić i słuchać:

Jest wieczór. Kwatera gdzieś nad Styrem — nie okopy — bliżej trochę — jakaś rezerwa. Jest wieczór. Chata nizka, na kominie ogień. Izba zajęta przez ułanów. Beliniaki. Pomęczeni, trochę głodni, trochę zziębnięci cisną się do ognia.

Gdzieś w kącie siedzi ułan. Twarz w dłoniach — łokcie na kolanach oparte — mundur zniszczony, jak wszystkich. Twarz blada o czarno-szarych przedziwnych oczach. Usta ładnie zarysowane — miękkie, smutne usta.

http://rcin.org.pl

Inni żołnierze śmieją się — ktoś opowiada coś głośno — przerywają — dowcipy pryskają jak rakiety — żołnierz samotny w kącie siedzi nieruchomo, jakby nie słyszał swego otoczenia. Zapatrzone gdzieś dalekie smutne oczy — na czole rysuje się pionowa zmarszczka.

A wtem—niepostrzeżenie drgnęły drzwi — do izby weszło dwóch jeszcze ułanów. Mundury świeże, choć zabłocone, jak z dalekiej drogi. Stanęli przy drzwiach. Jeden drobny o jasnych włosach, wysuwających się z pod czapki — patrzy wkoło z natężoną uwagą, jakby szukał kogoś po izbie. Znalazł — przez twarz przeleciał płomień — błysnęły oczy. Parę słów szepnął towarzyszowi, ten spojrzał w kąt za wzrokiem kolegi — uśmiechnął się, skinął głową — o potem ku kominowi do ognia ruszył.

Czerwone płomyki fantastycznie rozświetlają czarne wnętrze chaty. W kącie siedzi zadumany ułan o przedziwnych, czarno-szarych, smutnych oczach.

http://rcin.org.pl

Przybyły legionista nieznacznie do niego się zbliża — stanął w cieniu.

— Zapalicie obywatelu — wyrzekł jasnym głosem, podając siedzącemu papierosa.

Tamten drgnął. Zwrócił się gwałtownie ku stojącemu.

— Obywatelu — wyjąkał z trudem.

Żołnierz stał — twarz mu tylko mieniła się nieco.

— A więc? zapalicie — obywatelu — powtórzył, głos mu drgnął lekko.

Tamten milczał i jeno zdumionemi oczami wodził po niewielkim żołnierzu.

— Pani, pani — wybełkotał wreszcie. Twarz jego wyrażała zdumienie bez granic.

— Obywatel kolega tylko — zaśmiał się żołnierz, a pochylając się ku siedzącemu, wciąż prawie bezprzytomnemu ze zdumienia kolegi — objął go ramieniem miękkim ruchem... — Wit!... — wyszeptał stłumionym głosem.

Ułan zerwał się — sponsowiała mu twarz.

http://rcin.org.pl

— Pani tu? jak? dlaczego?!...

— Dlatego, bo się bałam o pana — dlatego, że nie miałam wiadomości — że, nie chciałam pana zostawić samego z tą całą idealną bezradnością — dlatego — a zresztą czyż nie wszystko jedno dlaczego? Jestem z panem — czy to źle, panie Wicie?...

Deszcz bije w szyby, za oknami leży mrok, głownie na kominku dogasają zwolna.

— Podobała się bajka?...

---

http://rcin.org.pl

Nie pisałam w mym zeszycie przez miesiąc. Wczoraj przyszła relacya od Zdzicha. Opolski prosił go, by mu dokładnie napisał, gdzie i co z panem. A więc przecież starał się pan, by się dostać do Krakowa! A więc przecież chciał pan wrócić!

Myślę o tem, że pan tęsknił i męczył się — i żal mi mego dużego Wita — takiego biednego jakiegoś, jak dziecko!

Przez cały czas milczenia pana zdołałam z wysiłkiem zapomnieć i odsunąć — wczorajszy list Zdzicha zatargał wszystkiem.

A przecież myśleć nie chcę! nie chcę! Jest mi ta myśl, jak kwiat przedziwny o słodkim, upajającym, trującym zapachu. Chciałabym, żeby się pan wrócił — a boję się i nie chcę. Jest w tem przeznaczenie jakieś, co porywa

http://rcin.org.pl

i niesie, i któremu nie przeciwstawić oporu — bo opór złamie, jak słomkę wiotką i poniesie.

A przecież pieszczę się myślą, gdy przedemną stanie Wit — Wit, którego mi przywiodła tęsknota — pieszczę się myślą o tej chwili — i nie chcę jej.

Wit! Wit! Ty nie wiesz nic! Jestem związana przedziwnemi więzami, moją własną, wolną wolą, sercem mojem — więc nie powinieneś wracać — i ja cię zapomnę — a przecież wołam cię całą mą tęsknotą!

Chciałabym z tobą pracować, myśleć, iść w tajemnicze ścieżki duszy ludzkiej — i móc cię — —

Nie chcę!

---

http://rcin.org.pl

Na dalekim froncie — och, nie wiem gdzie — istnieje człowiek, który opanował mą duszę i serce i mózg i każdą kroplę krwi. Istnieje człowiek, którego kocham! Czy wie pan, jasny panie Wicie — że raz modląc się do losu o jego życie — prosiłam, by »jeśli go to ocalić miało, by pan zginął, a on wrócił nietknięty« — słyszy pan?... Powtarzam to dziś i każdej chwili — słyszy pan?... Pan, między którym a mną leży odległość i czas — i moje szalone serce — i moja wolna wola —

i moje szalone serce, które złamać trzeba bodaj —

Wicie! Wicie!

---

http://rcin.org.pl

Żeby choć jedną godzinę — jedną godzinę.

Niech pan słucha — jest jakiś złotawy zmierzch — wiosenny zapewne — tak, wiosenny. Otwarte okno jakiegoś pokoju, w którem drżą w wietrze białe, muślinowe firanki. Okna w domach naprzeciwko pałają w różowej zorzy zachodniej — odcinają się subtelnie wieżyce dalekie, na seledynowem tle nieba — a nad wszystkiem złotawa poświata — jakby powietrze przesycone resztą zagasłego słońca.

Siedzimy w otwartem oknie — pan i ja. Jakaś cicha, dobra godzina — jedna jedyna.

Może opieram głowę na ramieniu pana — może ramię pana leży leciuchno poza mną — nie wiem. Może milczymy. Cóżbyśmy sobie

http://rcin.org.pl

mówić mogli — wszak nie mamy do powiedzenia nic.

Jak krople cicho i bezszelestnie płyną chwile.

Nie! pan się myli! Nie porwałoby mnie namiętne pragnienie szczęścia — nie tuliłabym się rozpaczliwym ruchem do piersi pana — tylko zapragnęłabym może odejść wraz z tym słońcem co zagasło —

może w takiej godzinie przeżyłabym resztę mojego życia — —

---

http://rcin.org.pl

Panie Wicie, jest wieczór — jestem sama i smutna i walczę już szereg dni daremnie z pamięcią pana. Ja pana chcę zapomnieć bezwzględnie i zupełnie — pana, który poszedł bez słowa i zapewne do nas nie wróci — pana, którego już nigdy nie zobaczę.

Nigdy — co za posępne słowo — za oknami deszcz pluszcze.

Dziwi cię to Wicie, że zapomnieć nie mogę po trzech dniach — po krótkich trzech dniach — a przecież walczę z sobą, szamocę się, usiłuję robić szaleństwa i niepomoga nic. Wczoraj o włos, a byłoby się stało coś nieodwołalnego. Ale nie stało się nic — gdybyś ty był — —

Panie Wicie — widzę pana tak wyra-

http://rcin.org.pl

źnie, jak wówczas w szpitalu — i głos pana słyszę — ten głos zciszony — Chciałabym —

Marzy mi się, że pan wrócił niespodzianie, że dnia jednego zastaję pana gościem u Opolskiego. No tak — nie mówiłabym nic— tylko patrzyła w oczy długo, bez końca —

A pan? a pan?

Prawda? Jak można tak szaleńczo, tak bezsensownie przywiązać do kogoś myśli swe — tęsknotę. Ja sama nie wiem — ja nie rozumiem.

Wit... Chciałabym być tam gdzieś, w błotnistych polach Mińskich — w jakimś okopie — bo ja wiem gdzie — siedzieć o szarym mroku obok pana — może głodna trochę, może bardzo zmęczona, w jakimś zabłoconym mundurze — i mówić z nim o czarze życia — o jego tajemnym, przemożnym uroku — o jego bogactwie, jak szumiące wino — jak pieśń wiosenna — o pięknie — o sztuce —

Kiedyż wreszcie zapomnę pana!

---

http://rcin.org.pl

Są dnie, w których niepokój o pana staje się ostry i przenikliwy, jak stal. Majaczą patrole niebezpieczne — jakie szarże śmiertelne — rany — niewola.

I ogarnia jakiś lęk potworny — ta straszliwa potem pustka — przenikliwy, ostry ból — i już nie wiem nic — odetchnąć się boję.

Mam wrażenie, jakbym szła po płonących głowniach — po ostrzach mieczy — —

---

http://rcin.org.pl

Jest całe życie, co między nami leży i moja wolna wola i przestrzeń i czas i niewiadoma — i moje szalone serce — a przecież tęsknotą przerzucam most cieniuchny a niewidzialny — cieniuchny most ku panu. Czy go pan schwyci i przyciągnie i pójdzie po nim ku mnie?...

Leży między nami nieufność pana i podejrzliwość — i te wszystkie drobne szczegóły, które świadczyć będą przeciw mnie — a przecież i pan tęskni i pan pragnie. Czyż nasze tęsknoty nie spotkają się nigdy — nigdy nie dokonają pragnienia?...

Chwilami zdaje mi się, że się szamoczę w czarnej, duszącej mgle — i że moje przeznaczenie w niej zginąć.

---

http://rcin.org.pl

A pan się tam bije!

Wy wszyscy tam — wy kochani! Wy tak jedni i blizcy, że niema nad was kochania wyższego! Wy polskie wojsko! Wy, którym u czoła zrywa się nasz orzeł do lotu! Wy, którzyście poszli z gniazd rodzinnych — jak często jedyne szczęście osieroconej matki! Wy, młodzi i piękni i dumni i silni!

Bijecie się tam w głodzie i umęczeniu — w chłodnych błotach i ogniach szrapneli — a gdy padniecie, dajecie nietylko wasze życie, ale wasze płomienne serca, które wybrały śmierć w boju o wolność — niż życie w niewoli.

Bohaterzy walczący o honor Polaka!

Cześć wam!

---

http://rcin.org.pl

Pamięta pan wszystko, co pan przeszedł, nim zdołał się dostać w szeregi legionów? Pamięta pan, co pan przeszedł wśród nich, starych żołnierzy, co w trudach i ogniu zwolna zatracili swą zewnętrzną kulturę. Wśród których bywało panu z swą mimozowatą duszą nieraz ciężko i samotnie.

O, ja pamiętam wszystko! i tę wiarę świetlaną i rozpaczne wątpienia i zacięcie się w honorze polskiego żołnierza — i jest pan znowu z nimi.

W chłodne, wilgotne ranki myślę, patrząc w mgłę za oknem, jak pan tam gdzieś drży z zimna w swem niedostatecznem ubraniu — i jak bolą zreumatyzmowane już nogi. Myślę o błocie, o deszczu przenikliwym, o robactwie co gnębi — i zrywam się

http://rcin.org.pl

z łóżka! Ogarnia mnie wstręt do białej, ciepłej pościeli — wstręt do wygód codziennego życia — i porywcze, namiętne pragnienie móc znaleźć się tam, w chłodzie i mgle, głodna i zziębnięta w mundurze ułańskim i maciejówce na czoło nasuniętej, człapiąc w grząskim błocie na umęczonej szkapie obok konia szeregowca Wita.

---

http://rcin.org.pl

Tak ciężko! tak ciężko chwilami!

Żeby pan wiedział, cobym dała za to, by tam móc być z wami! Już nie dla pana! nie! Po to, by zginąć dumnie i wspaniale!

Szarża! jakaś śmiertelna szarża Wąsowicza!

Czapka mocno na czoło zsunięta — pałasz w dłoni — głęboko zachwyta się dech w płuca. Wkoło niebo wiosenne i słońce jak świetlisty kwiat! Bierze się w oczy.

Szarża!

I jeno miarowy, zgodny tętent galopujących koni!

Pędzi się! Migoce stal, wiatr rzuca się w twarz, ułankę na ramionach rozdyma — upaja — ponosi!...

Pędzi się!

http://rcin.org.pl

Szał ogarnia — wszystkie nerwy rozprężają się w tym piekielnym pędzie — wrzask rwie się z piersi zdyszanej — już! dopada się! Z porywającym impetem spada szabla na jakieś łby, karki, ramiona — upaja krew, wrzaski, poryw własny — szaleństwo!

A potem krwawa mgła na oczach — słabnące ramię — gdzieś się tonie. Jeszcze odruchowo podnosi się szablę.

Na pobojowisku cisza i spokój. Na wilgotnej ziemi leży rozwalona już płonąca głowa — zciszone szalone serce — słońce na porzuconej stali rubiny zapala.

Marzy mi się taka szarża i taka śmierć!

I czasami nie wiem, co ciężej — czy wam tam umierać — czy nam tu żyć!

---

http://rcin.org.pl

Fundacja im. J. J. Michalskiego
Ze zbiorów
INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
Biblioteka
ul. [illegible] Nr 72
[illegible] Warszawa
Tel. [illegible]-26-52-31 wc 42

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

F
2279